

CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-8600



4

(84) 2015

T. Krzyżewski i M. Opalek wracają myślami do dawnego Lwowa ♦ Wspomnienia o lwowskich szkołach ♦ O latach wojen piszą P. Glugla i M. Mokrzykowa ♦ Teksty o obronie polskiej historii i kultury przed grekokatolicką agresją ♦ Rozmowa z prof. W. Zalewskim ♦ Sylwetki ♦ Książki

FINIS CORONAT OPUS

Koniec wieńczy dzieło. Czytelnicy pamiętają zapewne, że już parokrotnie zapowiadaliśmy kres wydawnictwa naszego kwartalnika, który powołał się do życia w 1995 roku z niepowtarzalnym tytułem, stworzyliśmy jego układ rzeczowy i szatę graficzną. Dotąd do tego zakończenia nie doszło, bo Czytelnicy protestowali, chwalili pismo w licznych listach, w rozmowach telefonicznych i na spotkaniach.

Tym razem już bezskutecznie. Po 21 latach niełatwych zajęć w parosobowym zespole, związanych z każdorazowym tworzeniem koncepcji, poszukiwaniem materiałów, szeroką i czasochłonną korespondencją, poprzez dobieranie ilustracji, redagowanie tekstów, udział w składaniu komputerowym – to wszystko w niełatwych warunkach życia, bo przecież pracę tę podejmowaliśmy całkiem bezinteresownie – przyszło naturalne zmęczenie. Naszym redaktorskim szczęściem była pomoc i życzliwość ze strony Wydziału Kultury i Dziedzictwa Narodowego Urzędu Miasta, którą zapewnił nam dyrektor Stanisław Dziedzic – Jemu głównie należy się wdzięczność redakcji i Czytelników.

Nadchodzi taki czas, gdy z jednej strony zmniejsza się napływ ważnych i ciekawych dla nas materiałów, z drugiej brak sił, czasem zdrowia. Jedno dobre, co pozostaje, to satysfakcja z owoch paru tysięcy stron wypełnionych tekstami naukowymi (czy raczej popularnonaukowymi) i wspomnieniami, poezją i prozą, wiadomościami, komentarzami i recenzjami oraz ilustracjami. Materiały więc różne, ale zawsze pełne wiadomości o tym, co interesuje nasze środowisko (i nie tylko) oraz pociąga do lektury, a przez nią do zdobywania wiedzy o rodzinnej, a utraconej Ziemi. Historia i geografia, literatura i sztuka, uczelnie i zbiory, wielcy ludzie – uczeni oraz twórcy kultury i techniki, duchowni, politycy i obrońcy naszej wolności – o tym wszystkim pisaliśmy wiele razy. Nie pójdzie to w zapomnienie, bo obok wersji *papierowej* stworzyliśmy *internetową*, która zapewni nieustający dostęp dla szerokiego ogółu, w tym dla zainteresowanej młodzieży.

Nasz kwartalnik nie był jedynym pismem kresowym, które podobne sprawy omawiało*. Przez lata było ich około pół setki, dziś o wiele mniej, ukazują się rzadziej. Ale zanotowaliśmy też dobre wydarzenie: w Warszawie powstało nowe piśmko „Polskie Kresy”. Warto je czytać i życzyć długiego żywota**.

A więc odchodzimy – mimo wszystko – z optymizmem. Lwowskie, wschodnio-małopolskie *światelko w tunelu* jeszcze nie zgasło.

Dziękujemy wszystkim Czytelnikom, Sponsorom i Darczyńcom, Autorom i Współpracownikom. Życzymy zdrowia i pomyślności. I wzajemnej pamięci.

Redakcja

* Były i są w kraju dwa typy czasopism kresowych: jedno poruszają problematykę „ogólnokresową” – to wrocławski „Semper Fidelis”, w Warszawie „Rocznik Lwowski” – jedyne pismo o aspiracjach naukowych, oraz dotąd w Krakowie „Cracovia-Leopolis”. Inne, „lokalne” i o wiele liczniejsze, odnoszą się do wielu miast i okolic w Małopolsce Wschodniej (przykładami „Zeszyty Tłumackie” czy „Biuletyn Bukaczowiecki”).

** Piśmko jest dwutygodnikiem – dodatkiem do warszawskiego tygodnika „Polska Niepodległa”. Redaktorem „Polskich Kresów” jest Marcin Hałas z Instytutu Lwowskiego.

Jak się to miasto nazywa...?

Jest miasto z zamkiem bez zamku,
Jest miasto z rzeką bez rzeki,
I aby ujrzeć je, musisz
Mocno zacisnąć powieki.

Skalę Czartowską bez czartów,
Miodową Grotę bez miodu,
Do dziwnych uroków miasta,
Które kocham, muszę dodać.

Orlęta nie są ptakami,
Burza zagnąła daleko,
Orlęta kochają miasto,
Co rzekę ma, choć bez rzeki.

Miasto wesołej piosenki,
Lew stoi przy jego bramie,
Czekając na powrót Orląt.
... Zapewne zgadniecie sami?...



Tadeusz Krzyżewski

Łzy i uśmiechy Lwowa

Mówią, że Lwów to miasto z charakterem i z temperamentem. I tak jest bezsprzecznie. Jego charakter stanowi ta uparta, niezmożona siła duchowa, cechująca go w ciągu 6 stuleci przynależności do Polski. Trzeba bowiem wiedzieć, że już w roku 1340 wcielił Kazimierz Wielki Lwów do Macierzy Polskiej, podczas gdy stolica nasza weszła w skład Korony dopiero w roku 1526, a więc o 186 lat później. W roku 1940 obchodził Lwów uroczyste 600-letnią rocznicę tego faktu.

Ta przeszłość dawna i ta najświeższa znalazły swe najgłębsze odbicie w herbie miasta „Zawsze Wiernego”. W ciągu wieków wytrzymał Lwów sześć wielkich oblężeń, 21 najazdów Tatarów, Wołochów, Turków, Kozaków, Moskwy, Szwedów i wreszcie Ukraińców, a także był świadkiem dwóch wielkich bitew. Raz tylko jeden uległ przemocy wroga. Gdy zaś nadeszła wielka wojna, tutaj również tworzył Marszałek Piłsudski pierwsze kadry Legionów. Dlatego stał się Lwów symbolem polskiego bohaterstwa, dlatego on jeden spośród miast polskich szczyli się herbem ozdobionym orderem *Virtuti Militari* i na dźwięk słowa „Lwów” – żywiej bije każde polskie serce.

W zakamarkach lwowskich, w jego zażytkach i śladach kul na murach zakłeta, drzemie utajona siła. Znakomity pisarz, przyjaciel Lwowa Stanisław Wasilewski, wyraził się niegdyś, że „Miasto to jest jak łuk – dopiero w napięciu okazuje swą największą siłę”.

Gdy tam, na wieży przy kościele Bernardynów zegar wybija godzinę, zawsze o pięć minut wcześniej niż na wieży Ratuszowej, – to symbol tej przeszłości bohaterskiej, wspomnienie tych czasów, gdy zamykano w obawie przed napadami bramy miejskie o godzinie 6, a strażnik wieży Bernardyńskiej spostrzegł 5 min przed szóstą na dalekich polach zbliżające się hordy tatarskie, przesunął zatem wskazówki zegara na godzinę szóstą i odtrąbił równocześnie zamknięcie bram miasta, zabezpieczając mieszkańców przed wtargnięciem najeźdźców.

Toteż miasto lwa ma nie tylko w herbie, ale i w sercu mieszkańców, nawet najmłodszych. Najpiękniej, najdumniej skryształizowała się miłość i wierność młodzieży dla rodzinnego grodu w pamiętnym listopadzie roku 1918, a Ci, co wówczas dali Życie za polskość i wolność Lwowa, spoczywają na najpiękniejszym w Polsce Cmentarzysku Orłąt i Obrońców.

W ciągu minionych lat 20 wyrosło przeszło 2000 grobów na tym Świętym Polu lwowskim, a wśród nich sto trzydzieści i czterzy jest bezimiennych. A jeden – Nieznany – odszedł stąd, opuścił swych towarzyszy, by w chwale spocząć pod wiecznie płonącym zniczem w Stolicy pod kolumnadą na Placu Marszałka.

Od listopada 1918 r., od owej, nie mającej odpowiednika w dziejach, trzy tygodnie trwającej obrony miasta, garstki straceńców przeciw regularnym wojskom najeźdźców – do sierpnia 1920, szukała tych bohaterów śmierć po wszystkich pobojuwiskach lwowskich, by wreszcie wypełnić krwawą kartę do samego końca i dać Lwowowi jego Termopile – Zadwórze pod Złoczowem, gdzie wyginęli niemal wszyscy – 500 z batalionu kpt. Zajączkowskiego, dając rozpaczliwy, jedenastogodzinny odpór przeważającej nawale czerwonej konnicy Budionnego.

Czterech Francuzów legło tu także i trzech lotników amerykańskich ze słynnej eskadry VII „Kościszowskiej”, pod dowództwem mjr. Fauntleroya. Walczyli i polegli za wolność naszą, tak jak niegdyś walczyli za ich wolność – Kościuszko i Pułaski.

Spoczywa tam snem wiecznym także i taki chłopczyzna, co miał zaledwie lat 13 – Antoś Petrykiewicz się nazywał. Jeszcze inny najdzielniejszy z dzielnych, 14-letnie lwiątko lwowskie, którego nazwisko brzmi dzisiaj jak pobudka – Jurek Bitschan!

Śpiewają dziś o nim pieśni, harcerskie drużyny widzą w nim swego patrona i duchowego przywódcę.

List tego dziecka lwowskiego, nacechowany prostą, a najwyższą miłością rodzin-

nego miasta, napisany do ojca w chwili, gdy Jurek odszedł potajemnie, by powiększyć szeregi obrońców Lwowa, godzien jest tego, by go umiało na pamięć każde polskie dziecko – list to bowiem żołnierski i bezkompromisowy, jak obowiązek:

Kochany Tatusiu! – pisał ten Bohater – Idę dzisiaj zameldować się do wojska. Chcę okazać, że znajdę tyle sił, by służyć i wytrzymać. Obowiązkiem moim jest iść, gdy mam dość sił, bo braknie ciągle ludzi dla wyzwolenia Lwowa. – Jerzy

Tak po prostu pojmuje swój obowiązek lwowskie dziecko. Bo dziecko lwowskie to godny następca sienkiewiczowskich bohaterów, stokroć ofiarniejszy i dzielniejszy nawet niż Staś z *W pustyni i w puszczy*.

Leżą tam wszyscy razem na tym Cmentarzysku. Dzieci i panienki najmilsze, żołnierze i dojrzały mężczyźni, Ojcowie licznych rodzin, Matki...

Ktokolwiek będzie we Lwowie, tam w pierwszym rzędzie winien skierować swe kroki, ku Pomnikowi Chwały Orląt. Dopiero obszedłszy to Święte Pole zrozumie, dlaczego nigdzie w Polsce, żadne miasto nie jest tak kochane przez mieszkańców jak Lwów! Tu każda grudka ziemi przesiąknięta jest krwią, tu dzieci nawet gotowe są miłość swego miasta przypieczętować życiem, idąc w sukurs ojcom swoim i dziadom.

I gdy przed swoimi oczami przesunie się ta dumna, a tak bolesna litania imion i nazwisk wyrytych na krzyżach drewnianych i płytkach katakumb, poczujecie wraz ze łzami, które przesłonią Wam oczy – i dziś i zawsze – że jesteście Polakami, że jest coś, za co warto dać Życie, tak jak je oddali Ci najmłodsi!

Ale Lwów to równocześnie miasto z temperamentem! Ledwie zdołało się otrząsnąć z wielokrotnej inwazji wojennej oraz z najazdu hord bolszewickich, co jeszcze w r. 1920 podchodziły pod Lwów, już w następnym roku dźwiga się z upadku, podejmuje wielki wysiłek nawiązania zerwanych kontaktów ze Wschodem i Zachodem, buduje na przepięknym Placu Wystawowym, opartym o Park Kilińskiego, swe Międzynarodowe Targi Wschodnie, w r. 1940 już XX z rządu.

Odbywają się one corocznie w pierwszej połowie września, trwają 10 dni i są prawdziwym przeglądem polskiej wytwórczości i techniki, bowiem w ramach Targów odbywa-

ją się również stałe tzw. „Targi Techniczne” – skupiające w kilkudziesięciu pawilonach na obszarze 40 000 m² cały ruch gospodarczy Małopolski Wschodniej. W ciągu 10 dni zwiedza Targi blisko 300 000 ludzi, a więc 30 000 ludzi dziennie.

Targi – to prawdziwe Święto Lwowa. A Plac Wystawowy to zarazem ogród tonący w zieleni, położony wśród stuletnich drzew, gdzie w jednym z największych gmachów mieści się słynna dziś w całym świecie *Panorama racławicka*, przedstawiająca bitwę pod Racławicami w całej okazałości i w krasie najpiękniejszych barw. Mistrzowskie to dzieło namalowane przez naszych najlepszych malarzy, z Janem Styką i Wojciechem Kossakiem na czele, powstała w r. 1894 dla wielkiej, Krajowej Wystawy, urządzonej we Lwowie, jako stolicy byłej prowincji austriackiej Galicji.

O ogromie dzieła malarskiego daje pojęcie liczba 120 m w obwodzie i wysokość samego płótna – prawie 17 m. Każdy, kto kiedykolwiek oglądał ten wspaniały obraz, jest pod jego nieopartyum urokiem, taki rozmach ma ta epeopea Kościuszkowska, tak żywo i kolorowo staje przed oczami przeszłość dziejowa, wskrzeszona mistrzowskim pędzlem artystów.

Z oczami pełnymi barw i blasków zdążamy dalej przez Plac Targów, już nie aby zwiedzać, ale by odpocząć po tych wrażeniach. Z położonych wśród drzew i zieleni rozlicznych restauracji na świeżym powietrzu dochodzą dźwięki muzyki, śpiewu i wesołych śmiechów. Tu bawi się ludek lwowski, lubiący dobrze zjeść i popić, zamieniający pod wieczór cały plac Wystawowy w jeden ogród zabawowy.

Zamaszista jest lwowska piosenka, tęgi jest humor ludzi z przedmieść lwowskich, a nikt lepiej nie wycina na harmonii sztajerków i dziarskich poplek, marszów i modnych tang jak lwowskie „andry”, czyli batiary – czy to Józku z Zamarstynowa, Tońko z Gródka, czy słodki Szczepko z Łyczakowa. I oni też stworzyli królestwo lwowskiego humoru w eterze i na ziemi. Jeszcze wczoraj szli z „hangranatami” na wroga, a dziś walą z harmonią i piosenką na ulicę, aby się żałość zbyt nie zapiekła w lwowskich sercach. Dzięki nim znają „Lwowską Falę” słuchacze radia tak w Europie, jak i w Ameryce. Dzięki nim rozbrzmiewa lwowskie „ta-joj” na fali serc i uczuć Polaków całego świata.

Z tym „ta joj” lwowskim ma nieraz cała Polska serdecznie śmieszne perypetie. Opowiadają warszawiacy, że pewnego razu na dworcu warszawskim spotkało się dwoje ludzi, którzy z głośnymi okrzykami rzucają się sobie w ramiona, a młodszy z nich woła: *Ta joj tato, ta ty tu, ta i ja tu!* Dwu przechodzących andrusów warszawskich patrzy uważnie na przybyłych i jeden mówi do drugiego: *Patrz, Felek! – Japończyki przyjechali!*

Pięć lat już przeszło bawią nas i uczą po swojemu na lwowskiej fali – tej spod znaku Lwa – najmilsi wesołkowie, Szczepko i Tońko. I wszyscy dziś już podzielają zdanie starego przyjaciela Lwowa Kornela Makuszyńskiego, który w dniu 5-letniego jubileuszu przesłał Szczepkowi i Tońkowi taki telegram gratulacyjny:

Ten się śmieje najlepiej, kto się śmieje we Lwowie – o mój Szczepko i Tońko, ta daj Wam Boże zdrowie.

A humor lwowski podobnie jak miłość – to cygańskie dziecię! Często niełatwo go dostrzec, rodzi się niespodzianie, tworzy go podwórzowy śpiewak, zamiatacz ulic, kucharka i malarz pokojowy na drabinie przy robocie. Wyraża się nieraz naiwnym zwrotem u dziecka lwowskiego, co bawiąc się na podwórku z towarzyszami, spostrzeża samolot, więc zadziera głowę do góry i prosi śpiewnie, a natarczywym metalowego ptaka: „A szamolocie – a zrzuć karteczki”.

Z humoru tego słynie gazeciarsz lwowski, wdzierający się do tramwajów z pękiem dzienników pod pachą, głośny, natrętny, wesoły, który – choćby nawet był garbaty – może iść w odwadze i gotowości do odpowiedzi w zawody z paryskim gawrochem. Lwowskie przekupki umieją zawładnąć nie tylko klientką, kapryśną przy wyborze pysznej śmietany! Znany jest fakt historyczny, że kilka przekupek na Placu Strzeleckim wyzwoliło w czasie wojny grupę internowanych legionistów polskich z rąk eskortujących ich żołnierzy austriackich!

I te słynne lwowskie precle tzw. „majowe”: preclarze lwowscy uwijający się we wszystkich parkach z najlepszymi na świecie obwarzankami; małe kwiaciarki sprzedające na ulicy wiązanki konwalii czy bławatów, zerwanych o świcie, często ukradkiem, w podmiejskich Lesienicach czy Winnikach; wędrowni handlarze krawatów i sprzedawcy kamyczków do zapalniczek, grajkowie ulicz-

ni, nawet kościelne dziady – to wszystko swoiste lwowskie typy, odróżniające się nie tylko odrębnymi cechami regionalnymi, ale również właśnie tym popularnym, sławnym już dziś zawołaniem „Ta-joj!”.

Piękne jest to miasto, „z zamkiem bez zamku, z rzeką bez rzeki i z szewcem, który butów nie robi”.

Takim je właśnie opisał Kornel Makuszyński w swej książeczce pt. *Uśmiech Lwowa*, dając pewnemu chłopcu z Warszawy jako zadanie odnalezienie tego miasta. Chłopiec ustala, że Lwów, odwiedza go i ogląda pozostałe już dzisiaj tylko ruiny z Zamku Wysokiego, dowiaduje się o zupełnie zamurowanej rzece lwowskiej – Pełtwi, i ogląda pomnik wielkiego szewca – Kilińskiego, którego imieniem nazwano dawny Park Stryjski.

Trzeba też, aby go takim wszyscy poznali i pokochali. Wszyscy, starzy i młodzi, ale w pierwszym rzędzie młodzi, bo znajdują tu szczerą ciepłą nastrój młodości i ten humor specyficzny, którym zachwyca się przez radio cała Polska.

Bujnym życiem naukowym i towarzyskim kipi świat młodzieży akademickiej, uczęszczającej na cztery wyższe uczelnie lwowskie. A poza tym mówią..., że miłszych dziewcząt jak we Lwowie nie znajdzie chyba na całym świecie! Doprawdy nie był młodym ten, kto choć raz nie kochał się we Lwowie! Nie na darmo, jak Polska długa i szeroka, śpiewano melodyjną piosenkę:

*Tyle jest miast, ile jest gwiazd,
Wszędzie znajdą Cię piosnki tej słowa,
Idź w świat gdzie chcesz,
Rób jak umiesz – co wiesz,
Chcesz się kochać – wróć do Lwowa!*

Starsi – mogą się przekonać, że to miasto spokojne, ukryte wśród zieleni, jest istnym azylem dla ludzi pragnących atmosfery wielkiego miasta, jednak bez zgiełku i nerwowego pośpiechu. Toteż Lwów nie darmo ma 24 000 emerytów w swych murach!

Ze Lwowa bardzo dogodnie są wypady do letnisk karpaccich i uzdrowisk tej miary co Morszyn, Truskawiec i Niemirów.

Kupcy i przemysłowcy – rozumieją dobrze, że jako stolica okręgu naftowego i siedziba Targów Wschodnich jest Lwów atrakcją handlową swego rodzaju. Z całej Małopolski zbiegają się tu nici interesów.

Obfitość towarów w lwowskich sklepach i domach towarowych nie ustępuje w żadnym wypadku warszawskim, z którymi konkurują z powodzeniem niskością cen.

Dobrze rozwinięte szkolnictwo zawodowe daje możliwość kształcenia fachowców we wszystkich dziedzinach.

Miłośnicy zabytków – mile zdziwią się widokiem rynku lwowskiego, przywróconego do jego dawnej, antycznej świetności architektonicznej. Skarby biblioteczne Ossolineum oraz innych zbiorów – wycieczki do Żółkwi, Oleska, Podhorzec lub Brzeżan, miasta rodzinnego marszałka Śmigłego-Rydza, – wypełnią po brzegi czas pobytu we Lwowie nawet najbardziej wymagającemu poszukiwaczowi osobliwości.

Sportowcy – powinni wiedzieć o tym, że Lwów ma doskonale rozwinięte życie klubowe. Tu powstały najstarsze kluby sportowe Polski – Czarni i Pogoń. Wzorowe bieżnie i boiska, pływalnie otwarte i kryte; zimą świetne tereny narciarskie i skocznie pod Lwowem oraz w Sławsku i Worochcie.

Latem – wycieczki piesze w Gorgany i na Huculszczyznę.

Smakoszy – znęci na pewno słynny z dobrej kuchni Lwi Gród. Flaczki po lwowsku z sosem zawieszonym i parmezanem, gulasz, barszcz szary z grzybkami i rzecz nigdzie nie spotykana: przysmażane pierogi z kartoflami i serem – oto delicje dla prawdziwych miłośników dobregojadła.

... **I wszyscy inni** – bo tu, na najpiękniejszym cmentarzu Polski, spoczywają Orleńca Lwowskie; bo tu zrodziło się, kwitnie i wyprawia swe brewerie najrozkoszniejsze dziecko radiowe – wesola fala Szczepków i Tońków; bo tu wreszcie sztuka przemawia czystym językiem z desek Teatru Wielkiego.

A gdy wyjedziecie ze Lwowa, wszędzie już za Wami pójdzie wspomnienie o „kochanym mieście” i słowa piosenki...

*Nasz drogi Lwów, to miasto snów,
I gdy usłyszysz „caje rączki”,
Gorączkę już masz!*

WRÓCIMY...

Jeden nas łączy los
I jeden łączy ból,
Jedna tęsknota do tych lasów, do tych pól,
Jedna nas łączy dola,
Lepsza albo zła,
W Polaku – Polak brata dziś na pewno ma.
Niech znikną zwady, kłótnie,
Zwarcu bądźmy dziś,
A wtedy jedna wspólna zrodzi się nam myśl.
Trąbka pobudkę gra,
Wiarę każdy niech ma,
Bóg nam pomoc swą da.

Refren

Wrócimy tam, dokąd serce dziś tęskni i marzy,
Wrócimy tam, wszyscy razem i młodzi, i starzy,
Wrócimy tam, żeby zerwać Ojczyźnie kajdany,
Wrócimy tam, gdzie nasz dom, gdzie nasz kraj kochany!

Wiktor Budzyński

Mieczysław Opalek

Z tajemnic starych katalogów

Spomiędzy kilkudziesięciu szkół lwowskich sięgają dzisiejsze szkoły Mickiewicza, św. Anny, św. Antoniego i św. Marcina historią swoją w przeszłość odleglejszą. Prym jednak nad nimi, pod względem lat maturalezowych, dźwierz najsędziwsza z nich wszystkich, szkoła Piramowicza.

W ciągu długich lat istnienia zmieniała kilkakrotnie nazwę i pomieszczenie. Jako szkoła galicyjska powstała w r. 1788 z przeistoczenia dawnej polskiej szkoły katedralnej. W pierwszym okresie austriackiego istnienia nosiła miano Lwowskiej szkoły głównej (Lemberger Hauptschule). Mieściła się wówczas w zabudowaniach obok katedry, w jednej z dzisiejszych kamienic kapitulnych, po czym około roku 1840 przeniesiona została do nowo wybudowanego gmachu ratuszowego. W latach 1853–1877 brzmiał jej tytuł „ck wzorowa szkoła główna”, w okresie autonomicznym Lwowa otrzymała miano dzisiejsze: szkoły Piramowicza.

Po przeniesieniu ratusza w roku 1881 – dał szkole gościnę na szereg lat zabytkowy dom przy ulicy Ormiańskiej, po czym w r. 1913 znalazła się uczelnia we własnym, na jej cel zbudowanym gmachu przy placu Strzeleckim 1.

Za bardzo szczęśliwą i wyjątkową okoliczność poczytać należy fakt, że katalogi klasyfikacyjne tej szkoły wyszły bez szwanku z pogorzelem ratusza w r. 1848 i przetrwały cało po dziś dzień, od pierwszego prawie arkusza. Echem odległych czasów i spraw szeszeszczą pod dotknięciem karty sporego formatu, a data 1789 na wstępie i inkaust wyblakły, przez czas wyssany – zawarty majestat lat i rzeczy, dawno i niepowrotnie minionych. Z prawdziwym zainteresowaniem przewraca się karty dokumentu niezmiernie ciekawego nie tylko pozaborowego szkolnictwa, lecz i ogólniejszej historii Lwowa

samego i jego zaludnienia na przełomie XVIII i XIX stulecia.

Setki nazwisk wciśnięto między rubryki grubych czerpanych arkuszy, a nazwiska te to mozaika układająca się w dziwaczne desenie stosunków lokalnych, wskrzeszająca obrazy niejednorodnej i bardzo ciekawej socjety lwowskiej przed laty stu i więcej.

W chórze nazwisk są różne brzmienia, mniej lub więcej doniosłe. Zarysowują się różne charaktery i temperamenty, cnoty i zaśługi, ułomności i występki. Poprzez szare arkusze foliów płynie rzeka nazwisk polskich i obcych, mniej lub więcej znanych, może zapomnianych niekiedy, często całkiem nieznanymi. Jak w rzece. Jedne strugi odpłynęły cichym nurtem ku morzom zapomnienia, inne wezbraną falą wydęły się na powierzchni lub w wielkim nagromadzeniu wód rzuciły się w bok, szukać nowego koryta. A wreszcie były i takie, co u płaskich brzegów rozlawszy się płytko, utworzyły niezdrowe, cuchnące mielizny.

Zanim pocznę mówić nazwiska rodzime i z dalekiego świata, dopuśćmy przedtem do głosu cyfr kilka, zilustrują nam pewne ciekawe momenty dawnego szkolnictwa. Do szkoły normalnej zapisywał się niejednokrotnie panicz, któremu puszczał się już wąs pod nosem. W 1789 r. było w klasie III na 85 uczniów – 32 młodzieńców w wieku



15 do 20 lat życia. W jedenaście lat później stosunek procentowy znacznie mniejszy. Maleje on też w ciągu kilku lat następnych i około r. 1810 wykazuje już stan mniej więcej prawidłowy. Uczniowi 20-letniemu nie pozostawało po ukończeniu klasy III nic innego jak rzemiosło. Według zapisków katalogowych poszło też wielu tą drogą, o ile nie wzięto ich wcześniej „w kamasze”. Bo i tak bywało. W rubryce zatytułowanej: *Wann der Schueler die Schule verlassen und wozu ersich verwenden hat* – przeczytać można niejednokrotnie odpowiedź: *Ist zu Soldaten genommen worden*.

W drodze żmudnych poszukiwań i studiów udało się autorowi niniejszego szkicu wykraść wiele tajemnic sędziwym kartom katalogów i zestawić szereg nazwisk prawdziwie „markantnych”, należących do ludzi, którzy nie minęli bez echa i bez spuścizny, pozostawiający po sobie plon pracy i zasługi.

Na ławach szkoły głównej zasiedli przedstawiciele różnych warstw społeczeństwa lwowskiego. Obok dzieci ówczesnej arystokracji Lwowa uczyli się „metodą normalną” synowie ziemian ze wschodniej części kraju, dzieci wyższych i niższych urzędników, wreszcie potomstwo księży ruskich i lwowskich mieszczan. Na kartach katalogów – zwłaszcza w pierwszych latach istnienia szkoły – spotyka się dość często nazwiska z poprzedzającym je słowem Graf, Baron lub Fuerst. Nazwisko Borkowskich, Drohojowskich, Dulskich, Kalinowskich, Komorowskich, Łosiów, Młockich, Mierów, Mycielskich, Niezabitowskich, Paparów, Ponińskich, Puzynów, Skarbków, Szeptyckich figurują od roku 1788 do 1820 na kartach katalogów dość często. Po roku 1820 znikają, w ich miejsce przybiera natomiast więcej nazwisk o brzmieniu pospolitszym.

Z nazwisk przytoczonych zapisały się niektóre chlubnie w pamięci społeczeństwa. Stanisław hr. Borkowski, urodzony w Rudzie, był uczniem lwowskiej szkoły głównej w r. 1791. Zasłynął jako wybitny mineralog. Napisał wiele dzieł w języku polskim, francuskim i niemieckim, wydał najdawniejszy zabytek mowy polskiej *Psalterz królowej Małgorzaty*. On pierwszy w Galicji uwolnił w r. 1818 włościan w swych dobrach od pańszczyzny. W latach 1804–1805 uczyli się w tej samej szkole bratankowie Stanisława, Tytus i Henryk Borkowscy, synowie Jerzego

Jakuba, podkomorzego JKMci, marszałka szlachty ziemi tarnopolskiej.

W r. 1789 znajdujemy w katalogu imię Stanisława hr. Skarbka. Komu we Lwowie obce to nazwisko? Wielka fundacja dla sierot w Drohowyżu i olbrzymi gmach teatralny we Lwowie to dzieło człowieka, o którym mówi biograf, że *jako pan milionów oszczędniej żył aniżeli sługa, który go obsługiwał*.

Inni uczniowie z tej sfery oddali usługi nowemu rządowi, zyskali wyższe stopnie w armii austriackiej, jak Tytus hr. Mier, lub osiedli w swych dobrach prowadząc żywot ziemiański.

Nie brakło wśród tej warstwy społecznej oryginałów i postaci mniej lub więcej awanturniczych. Za taki typ ujemny uważać należy Ignacego hr. Kalinowskiego. Właściciel Turki i kilku innych włości zasłynął w owych czasach jako wielki dziwak i aranżer przeróżnych złośliwych figlów. Już na ławie szkolnej dawał się otoczeniu we znaki. W katalogu znajdujemy przypiski charakteryzujące hrabczuka słowami: „Ist ein unerzogener Knab”, to znowu „sehr lebhaft”. Natura bardzo oględnie i delikatnie zdefiniowana przez nauczyciela ujawniła się w całej pełni w okresie, gdy hrabia liczył ponad 20 lat życia. Jakie miewał fantazje i dzikie pomysły, niech zaświadczy to, że rozwalić kazał stojącą przed pałacem w Turce figurę św. Jana za to, że... mu się nie kłaniał.

W roku 1795 wyprawił Domicjan Wybranowski, stolnik lubelski, synów Adama i Romana na naukę do Lwowa. Należycie opatrzeni w spiżarnię i garderobę, ruszyli chłopcy w drogę z Drohowyża z taborem dobrze wyładowanych wozów, a jechali w towarzystwie starego sługi Mikołaja, korepetytora Tarnawskiego i metra języka francuskiego, niejakiego pana Rodu. We Lwowie zapisani zostali do szkoły głównej koło katedry i w rubryki katalogów z lat 1791–1798 wpisane są ich nazwiska.

Stary dyrektor Quapil i nauczyciel Raab nie przypuszczali wówczas, że niepokazny ich uczeń Romanek „Wybranowski” dosłuży się kiedyś dobrze zasłużonych szlif generalskich. Ze szkoły głównej przeszedł Roman do Kolegium franciszkanów i po ukończeniu nauki zaciągnął się jako 20-letni młodzian do 3 pułku ułanów w armii ks. Józefa Poniatowskiego. Odbył chlubnie kampanię napoleońską, a gdy wybuchło 20 lat później powstanie

listopadowe, złożył znowu Ojczyźnie oręż w ofierze. Raz jeszcze wypadło w ciągu pracowitego żywota przypasać pułkownikowi z r.1831 szablę do boku, a to w 1848 r. gdy zakwitła brzemienna w nadzieje i wypadki „wiosna ludów”. Wybranowski mianowany został wówczas dowódcą Gwardii Narodowej we Lwowie – w stopniu generała.

Na parę lat przed pobytem Wybranowskiego w szkole głównej zapoznał się z twarzą ławą tej szkoły w latach 1793–1795 inny napoleończyk i oficer z roku 1831, Adam Kasperowski. W armii Księstwa Warszawskiego dosłużył się on stopnia majora, w roku 1831 mianowany został szefem sztabu dywizji jazdy. Chętnie mieniał szablę na pióro, tłumaczył Tassa, a w roku 1821 napisał i wydał książeczkę, która jest jednym z najtypowszych przykładów polskiego romansu sentymentalnego, z wyraźnym podkładem modnego wówczas werteryzmu. Są to słynne w swym czasie *Żale Elwiry*, nad którymi uroniły całe potoki łez czule czytelniczki. Po upadku powstania osiadł Kasperowski we Lwowie, w mieście najwcześniejszych swych wspomnień ze szkoły głównej i tu poświęcił się dawny autor sentymentalny pracy bardzo pozytywnej, zagadnieniom wybitnie praktycznym, wydając „Tygodnik Rolniczo-Przemysłowy”, na łamach którego pomieszczał rozprawki w rodzaju takich jak *O pługu poprawnym*, *O gorzelniach parowych* itp.

Pierwszymi urzędnikami w Galicji, jak i profesorami Uniwersytetu Lwowskiego byli przeważnie Niemcy. O podróży tych ostatnich do Lwowa tak pisał profesor Finkiel: *Z różnych stron monarchii jeździli się oni do Lwowa z rodzinami, wioząc na wielkich brykach meble i książki. Do widoku wędrowni tej przywykli już mieszkańcy naszego kraju, bo od dwunastu lat snuty się takie tabory po wszystkich gościach. Niejednokrotnie dziwni to byli Niemcy – ci pierwsi urzędnicy i profesorowie. Znajdujemy wśród nich przybyszów aż z Lombardii. Sam cesarz Józef II odnosił się do wielu z nich krytycznie. O radcy gubernialnym we Lwowie, niejaki Guirigim z Amsterdamu wyraził się, że zapewne zna wszystkie języki prócz niemieckiego, polskiego i łacińskiego, a radcą gubernialnym został chyba po to tylko, by pensje pobierać.*

Wiele nazwisk, które zawarły drukowane w oficynie Pillera szematyzmy rządowe –



Wacław Zaleski

przyłgnęło również do katalogów lwowskiej szkoły głównej. Nazwiska te wydają się prawie że egzotyczne na gruncie ówczesnego pocziwego Lwowa, nieliczącego w pierwszych leciach po zaborze Galicji więcej nad 40 000 mieszkańców. Nazwiska to o brzmieniach najrozmaitszych języków, nazwiska to – jak mówi dr Tokarz – „z całego świata”. Oto ich ciekawa wiązanka, zebrana z kart katalogu szkolnego: Achilles, Bahry, Beauvalle, Bossie, Boisserant, Caspary, Castelli, Castiglione, Celebras, Christiani, Christianus, Cordarini, Despinoix, Dupont, Entremont, Eperies, Fallatori, Fanconi, Ferrari, Glixelli, Janvars, Karhezy, Lamboi, Mamcini, Mansarda, Marrossany, Martinelli, Mazaraki, Montmorenci, Nemethy, Palmiarni, Pospiszil, Roselli, Silva, Spaventi, Van Roy, Victorii, Krecha i wiele, wiele innych.

Na przemian z nazwiskami proveniencji zagranicznej snują się na szarych arkuszach katalogów z końcem XIX stulecia rodowe nazwania Barączów, Bogdanowiczów, Bułharynów, Darowskich, Dunajewskich, Nikorowiczów, Olexińskich, Paradowskich, Romanowskich, Rylskich, Ujejskich, Wereszczyńskich, Zaleskich, Babłów de Fronsberg, Thulie'ów, Longschamps'ów, Battaglia'ów, a dalej nazwiska Baczewskich, Dworskich, Golczewskich, Gołąbów, Gromadzińskich,

Gubrynowiczów, Justianów, Kirstynów, Klei-
nów, Klimowiczów i Mizikowskich księgarzy,
Musilów, Sancewiczów i Szenderowiczów,
obywateli lwowskich, kupców i rękodziel-
ników.

W r. 1792 ukończył szkołę główną Dion-
zy Zubrzycki, autor *Kroniki Lwowa*, w r. 1812
Wacław Zaleski, późniejszy gubernator Ga-
licji, literat i zbieracz pieśni ludowych, znany
w dziejach piśmiennictwa pod pseudonimem
Wacława z Oleska. W r. 1834 przeszedł
stąd do szkół wyższych Apolinary Jawor-
ski, jeden z najwybitniejszych parlamenta-
rzystów, czołowa postać wśród polityków
galicyjskich, doświadczony prezes byłego
Koła Polskiego.

Z powodzi nazwisk wyławia skrzętny
badacz i takie, które przywodzą na pamięć
dawny światek artystyczny i literacki Lwowa
w zarannej dobie Galicji. Do szkoły głów-
nej posyłał w latach 1797–1801 dwóch sy-
nów Józef Reichan, żołnierz kościuszkowski
i malarz, przybyły około 1796 r. z Warszawy
do Lwowa, posyłał też synów Jozef Pitsch-
man, wybitny portrecista tej doby, malarze
Franciszek Gatton i Jan Haar. Współcześnie
też prawie notują katalogi nazwiska dwóch
Dolińskich, synów Łukasza, który zdobił ma-
lowaniami wiele kościołów i cerkwi lwow-
skich. Wspomnieniem sztalug i pędzli trąci
też nazwisko Antosia Rolińskiego, którego
rodzic Imćpan Aleksander był właścicielem



Marceli Maszkowski

domu pod nr. 5073/4 i pomazańcem Apol-
lona w nadpełtwiańskim grodzie. Po r. 1822
opuścił progi uczelni syn Hartmana Witwera,
jednego z wybitnych rzeźbiarzy osiadłych
po zaborze we Lwowie, po r. 1830 ukoń-
czyli szkołę Wiktor i Władysław Kamińscy,
synowie Jana Nepomucena, zasłużonego
dyrektora sceny polskiej, a także Kajetan Ty-
rowicz i Franciszek Baszny, dzieci lwowskich
muzyków-kompozytorów. W latach 40. XIX
stulecia czerpali naukę w lwowskiej szko-
le głównej dwaj bracia Kornela, Bronisław
i Edward Ujejscy.

Przedziwny urok, jaki kryje w sobie era
węglarstwa, spisków i tajnej propagandy
patriotycznej w Galicji po roku 1831 – wio-
nie od nazwiska przedwcześnie zgasłego
młodzieńca Tytusa Olexińskiego. Pada to
nazwisko równocześnie na dusze ponurym
cieniem pamiętnych murów karmelickiego
więzienia na Halickim przedmieściu. Ole-
xiński należał w r. 1837, jako akademik,
z kilku innymi do założycieli „Młodej Sarm-
cji” i „Związku Synów Ojczyzny”. Uwięziony
w r. 1840, zmarł skutkiem niehigienicznych
warunków w więzieniu. Uczniem szkoły
głównej był w latach 1825–1826.

Na arkusze katalogu z lat 1841–1847
sieją wiele romantycznego blasku szacowne
nazwiska braci: Karola, Marcelego i Rafa-
ła Maszkowskich, synów Jana, sędziwego
malarza lwowskiego. Rygorystyczna i oschła
dydaktyka austriackiej szkoły głównej nie
zabiła polotu w tych pięknoduchach – wszy-
scy trzej poszli świetlaną drogą sztuki. Karol
poświęcił się rzeźbie, a do najwybitniejszych
dzieł jego należą popiersia Wandy Młodnic-
kiej i Zofii Romanowiczówny. Gorący patrio-
ta, wziął udział w powstaniu styczniowym.
Młodo zmarły Marceli, zwany był jako świet-
ny rysownik „wirtuozem ołówka”,

Rafał wreszcie poświęcił się muzyce,
zasłynął jako skrzypek i dyrygent, którego
pamięć i zasługi uczcili muzycy niemieccy
pomnikiem we Wrocławiu. Odznaczał się
wybitną urodą i piękne jego rysy uwiecznił
Grottger, przyjaciel młodych Maszkowskich,
na kartonach *Wojny*.

Skorośmy potracili o dłuto, paletę i pa-
pier nutowy, wyczerpmy wszystkie nazwiska
artystów, którzy w szkole głównej zdobywali
rudymenta nauki; Julian Markowski o senty-
mentalnym wyrazie twarzy, okolonej bujną
czupryną, wyzyskany przez Grottgera jako



pan Kwieciński chodził w słomkowym białym kapeluszu i kracastych pantoflach. Było to po otwarciu kolei Karola Ludwika.

Wzmiankę o szkole głównej i ówczesnych metodach wychowawczych znajdujemy również w pamiętniku Narcyza Baltazara Pitschmanna, syna Józefa, wybitnego portrecyście. Równy w r. 1800 rozpoczął Pitschmann naukę w lwowskiej szkole

doskonały model w obrazie *Losowanie rekrutów* – uczęszczał do szkoły w ratuszu w latach 1854–1856. Lekkoduch, typowy syn artystycznej bohemy, „wieszał” się jakiś czas po ucieczce z domu przy wędrownym trupie teatralnej. W roku 1863 poszedł na pole walki, po czym osiadł jako artysta-rzeźbiarz we Lwowie. Z pracowni jego wyszły pomniki lwowskie Kilińskiego i Bartosza Głowackiego oraz cały szereg, traktowanych po literacku, nagrobków na cmentarzu Łyczakowskim.

Przy pomocy palety malarskiej wypowiadały się talent i umiłowania Michała Godlewskiego (był w szkole głównej w r. 1848), Zygmunta Sidorowicza, wybitnego pejzażysty (1855–1857), obu Tepów, Franciszka (1834–1840) i Brunona (1872–1875), Zygmunta Ajdukiewicza (1869–1870), Henryka Grabińskiego, profesora Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie (1850), Piotra Stachewicza, znanego twórcy *Legend o Matce Boskiej* (1869), Pawła Merwarta, który z ojcem nauczycielem muzyki przywędrował do Lwowa z rodzinnej Marianówki w guberni chersońskiej i był w szkole głównej w latach 1863–1864. Wysłany jako malarz przez rząd francuski w celach artystycznych na Martynikę, padł tam ofiarą znanej katastrofy w dniu 8 maja 1902 roku.

Tę grupę uczniów uzupełniają wreszcie mistrzowie Stanisław Kaczor-Batowski (1874) i Julian Fałat, który z Tuligłówn pod Komarnem – gdzie ojciec był organistą – przybył w r. 1861 do lwowskiej szkoły głównej, zwanej już wtedy „wzorową”, i nauczyciela swego Karola Kwiecińskiego tak scharakteryzował w pamiętnikach: *Srogi*

le głównej, siedział w jej ławach trzy lata, a z pobytu w niej zapamiętał dobrze szczegóły następujące: *W siódmym roku wszedłem wprost do klasy drugiej szkoły normalnej niemieckiej. W tej klasie i w trzeciej różga i dyscyplina na przemian kursowały, a nawet dalej w gimnazjum w trzech klasach, aż do retoryki. W szkole różga, w domu pasek gruby, półłokciowy do brzytwy, tym znowu ojciec karciał swawolę i nieposłuszeństwo dzieci. Kawalek onego już zużyty zachowałem u siebie na pamiątkę i następujący napis położyłem:*

*Ten drogi szczątek paska z tęgiego rzemienia
Ród nasz wysoko ocenia;*

*Na nim tatko czterdzieści lat brzytwy wecował,
Tym paskiem pięciu synów i córkę wychował.*

Pod uroczym działaniem wspomnień dzieciństwa urastało do piękna symbolu – jak świadczy przytoczony czterowiecz – nawet bolesne narzędzie chłosty. Tchnienie sentymentu, romantycznej zadumy i łezka wspomnienia padały nie tylko na delikatne kwiatki zasuszone wśród kartek sztambucha, ale i na szczątek pospolitego rzemienia. W mentalności dawnych ludzi, przywołujących chętnie pod koniec żywota mury wspomnień z lat szkolnych – stawała się chłosta omal że błogosławieństwem, stawała się regulatorem moralności i dobrych obyczajów, czynnikiem jedynym, który swawolne dzieci *wyprowadzał na ludzi*. Ten przesadny pogląd na rolę wychowawczą patyka czy rzemienia był wynikiem uczuciowego zakłamania, które widzieć kazało we wspomnieniach z dawnego życia szkolnego same blaski, przymykać

oczy na cienie i nędzę szkoły lub nawet wprost te cienie i nędzę wyziaczać.

A oto jeszcze jedno wspomnienie z ław szkoły głównej, skreślone ręką Szczęsnego Bednarskiego: *Najpierw chodziłem do trzyklasowej szkoły parafialnej przy kościele św. Anny, zostającej wtedy pod kierownictwem znanego profesora śp. Jakuba Czapelskiego. Następnie chcąc się wyżej kształcić potrzeba było przejść do jedynej wówczas we Lwowie szkoły tak zwanej wzorowej, do klasy IV w Ratuszu. Kierownikiem klasy IV był wtedy śp. A. Ficałowicz. Po zapisie zostałem posadzony podobno w trzeciej ławce, drugi z rogu, obok ucznia, który nazywał się Nigruen, bardzo sympatyczny chłopak. W czasie, gdy śp. Ficałowicz zajęty był katalogiem swoim, kolega mój nie przestrzegłszy mnie, że w tej szkole tylko po niemiecku się mówi, sam zaczął mnie po polsku wypytywać: do której szkoły chodziłem, jak się mój profesor nazywał itd. Spozstrzegł to śp. Ficałowicz, a wskazując na mnie, ostro zapytał: Nigruen! Wie sprichst er mit dir? Kolega mój przestraszony odpowiedział: Polnisch! Herr Professor!*

Mnie oburzyła ta odpowiedź jego, więc natychmiast głośno odrzekłem: Proszę Pana Profesora! On sam zaczął ze mną po polsku rozmawiać! Śp. Ficałowicz, widocznie jeszcze bardziej zirytowany, surowo krzyknął: Du sprichst widerum polnisch!? Heraus, heraus! – Nie zdołałem na to odpowiedzieć, a już jakiś walny chłopak z ostatnich ławek prowadził mnie na ławkę i dostałem za to jedną trzcinę.

Zawstydzony i rozżalony pomyślałem: Zły początek! – W szkole św. Anny przecież nigdy tego nie doświadczyłem Milcząc niecierpliwie czekałem godziny 11. Wreszcie usłyszałem: „Zum Gebet”!

Po modlitwie zaczęli się wszyscy wybierać do domu, a wtem słyszę: Bednarski! wirst bleiben! Prerażony, znowu pomyślałem: „Macie go, widać jeszcze mu mało”. Usiadłem, ale widzę, że oprócz mnie i inni panice pozostają.

Wtedy mój „srog” Pan Profesor zbliża się najpierw do mnie i zaczyna po polsku wypytywać mnie o moje stosunki, a wreszcie zapytuje: „A chciałbyś zostawać na korepetycje, możesz płacić? Odpowiadam, że chciałbym, ale nie mam z czego płacić. Jestem biedny. Na to śp. Profesor Ficało-

wicz odpowiada: Więc zostawiam cię na korepetycje za darmo, ale pamiętaj, sprawuj się dobrze, ucz się pilnie, a w godzinach szkolnych po polsku nie rozmawiaj!

Z tego wynika, że profesor odczuwał krzywdę moją, więc tak szlachetnie odplacił mnie za to. Ukarac mnie musiał, bo taki był wówczas system kształcenia młodzieży polskiej. Chciano nas koniecznie zniemczyć, lecz – Bogu dzięki! – nie udało się!

Autor tego wspomnienia zachował na resztę życia tkliwe uczucie przywiązania dla lwowskiej szkoły wzorowej, a uczucie to zmanifestował czynnie. *Ceniąc bowiem wysoko szkołę, powodowany uczuciem szczerzej wdzięczności dla Czcigodnego Grona, szczególnie dla śp. Ficałowicza – oddał w latach 1891–1903 pięciu swych synów na naukę do tej samej szkoły, zwanej już wówczas szkołą Piramowicza.*

Wróćmy do właściwego tematu. Podobnie jak Rafał Maszkowski poświęcił się muzyce również Wilhelm Czerwiński, który kończył szkołę główną w burzliwym roku, gdy na miasto padały pociski Hammersteina, Czerwiński skomponował wdzięczną operetkę *Sokołów* i szereg pieśni, które jak *Marsz Sokołów* upowszechniły się bardzo szeroko.

Zatrzymuje nas znowu na dłużej katalog z r. 1854 i przykuwa uwagę brzmienie obce, a jednak bliskie – nazwisko Jerzego Bułharyna. Był on synem dobrze zapisanego na kartach dziejów porozbiorowych Jerzego Beg-Bułharyna, który dowodził w powstaniu listopadowym 7 pułkiem ułanów, był naczelnikiem ziemi sanockiej w przygotowywanej ruchawce w r. 1846, wreszcie generałem polskich formacji wojskowych walczących o wolność ziemi Arpada w r. 1848. Jerzy Bułharyn, syn, poświęcił się służbie w austriackiej marynarce, później w piechocie i zmarł jako podpułkownik w r. 1913.

Ale wspomnieniom jeszcze nie koniec. Wróćmy do nazwisk „z całego świata”.

Henryk i August hrabiowie Castiglioni, uczęszczający do lwowskiej szkoły głównej w latach 1796 do 1799, byli synami radcy gubernialnego. O ile nie znane są nam koleje życia Augusta, o Henryku wiemy to, że poświęcił się karierze wojskowej. Po jej szczyblach szedł szybko w górę i w r. 1846 widzimy go na stanowisku kometandanta Krakowa. W dwa lata później, w roku walk wolnościowych, dowodził Castiglioni

27 kwietnia wojskiem hulającym po ulicach. Otrzymał postrzał w policzek czcionką drukarską, cofnął się na Wawel, by bombardować miasto. Prócz niewielkich jednak uszkodzeń kościoła Mariackiego, większych strat z powodu bombardacji Kraków wówczas nie poniósł.

Na dwa lata przed tym występem Castilioniego odegrał inny uczeń lwowskiej szkoły głównej wybitną, acz krótkotrwałą rolę w ruchu rewolucyjnym Krakowa w r. 1846. Jan Tyssowski urodził się w r. 1811 w Tarnowie. Tam jego ojciec pracował w urzędzie obwodowym, po czym przeniesiony został do Lwowa, zajął w gubernium posadę tłumacza. Jan Tyssowski, obdarzony umysłem wrażliwym, uległ łatwo urokowi patriotycznej i spiskowej roboty. W 1831 roku uciekł w dzień swych imienin do Zamościa, gdzie wstąpił do artylerii i odbył całą kampanię. Po powstaniu wstąpił na wydział prawniczy na uniwersytecie lwowskim, wydany stąd jednak, kończył studia we Wiedniu. Tu był przez jakiś czas praktykantem conceptowym, po czym wróciwszy do kraju, zajął zrazu miejsce sekretarza u Władysława ks. Sanguskiego, później rządcy w dobrach hr. Kuczborskiego w Krakowie. Wciągnięty w wir rewolucyjnych spiskowców, wymowny i wykształcony, łatwo zjednywał sympatię ludzi z nim współdziałających. Obwołany 23 lutego 1846 r. dyktatorem Krakowa, dźmierzył władzę przez trzy dni.

Po upadku rewolucji krakowskiej wyjechał do Ameryki, gdzie w r. 1857 zmarł w Waszyngtonie.

Nazwisko Tyssowskiego widnieje w rubrykach katalogu w latach 1818–1819. Z nazwiskiem tym spotykamy się też kilkakrotnie na kartach „złotej księgi”.

Był też Lwów kolebką, a szkoła główna pierwszą mistrzynią dla mało znanego poety austriackiego:

Karol **Draecksler**, syn urzędnika, urodzony w r. 1806 we Lwowie, był w r. 1815 uczniem III klasy szkoły głównej. Gimnazjum kończył w Pradze, uniwersytet w Wiedniu, po czym poświęciwszy się literaturze, wydał kilka tomików poezji i redagował w Darmstadtzie czasopismo „Rheinisches Taschenbuch”. W literaturze austriacko-niemieckiej znany był pod mianem Manfred Draecksler. Biograf poety zaznacza, że na pierwszym wychowaniu chłopca zaciążyły wpływy pol-

skie, z których jednak po wyjeździe do Pragi i Wiednia łatwo zdołał się otrząsnąć.

Egzotyczność nazwisk „z całego świata” znika około 1830 roku z katalogów szkolnych, bo znikać zaczyna powoli i z gruntu galicyjskiego. Tych dziwnych Niemców-awanturników i obieżyświatów o włoskich, francuskich czy holenderskich nazwiskach już w Galicji nie stało. Ich miejsce zajęli również synowie Germanii, ale jakże inni od swych poprzedników. Posada w Galicji nie jest już dla nich jedynie wyprawą po złote runo. Do miejsca pobytu przywiązują się szczerze. Niektórzy miłością i duszą egzaltowaną wrastają w organizm narodu, do którego poprzednicy odnosili się wrogo. Legenda i romantyczny urok czerwonej czapki rogatej wciska się przemożnie i władnie do biedermeierowskiego zacisza ich domu. Odtąd młody Wilhelm, Herman czy Fryc odda nierzadko całą duszę, krew i życie nowej przybranej ojczyźnie, jak to uczynił Józef Reitzenheim, który na ławie szkoły głównej siedział w r. 1817. Była to – pisze o nim biograf – jedna z tych pięknych postaci, których tyle rok 1831 wprowadził na widownię dziejową. Syn cudzoziemca, wysokiego urzędnika administracyjnego, przejęty wielkością naszej sprawy i pełen admiracji dla narodu pragnącego wywalczyć sobie niezależność – rzucił wszystko: rodzinę, stanowisko spokojne i opromieniowane dobrobytem, przyszłość pełną blasku w służbie rządowej i ruszył na pole walki, aby bić się za naród, którego synem wprawdzie nie był, ale który synowską ukochał miłością. Reitzenheim zaciągnął się do 5 pułku ułanów i odbył całą kampanię 1831 roku, walcząc pod Grochowem, Wielkim Dębem, Ostrołęką, Mińskiem, Rudkami, Międzyrzeczem, Opolem, Józefowem i Borowem, za co otrzymał złoty krzyż wojskowy polski. Po upadku powstania osiadł na emigracji w Paryżu, służąc piórem sprawie i kulturze polskiej, zaprzyjaźniony z Juliuszem Słowackim.

Okolo roku 1840 wystąpiła na kartach katalogu szkoły głównej nowa seria nazwisk Bauerów, Buzathów, Dosów, Andersów, Franców, Getritzów, Hawranków, Hornungów, Jahlów, Kisielków, Lickendorów, Majerów, Mozerów, Musilów, Questów, Hammerów, Prochasków, Riedlów, Schubuthów, Schumanów, Starków, Stronerów, Winklerów i tylu tylu innych. Brzmienie ich obce

jest wprawdzie, niemniej należą te nazwiska do ludzi czcigodnych, ojczyzny synów najlepszych, rodzinnego miasta świątliwych obywateli.

Od katalogów sędzivej szkoły lwowskiej oderwać się trudno, bo szare stroniczki acz ciche, mówią wiele, kryją skarb nazwisk dobrze znanych, trudnych do zapomnienia. Przerzucamy dalsze karty i z zimnych rubryk wydzierają się ku nam wymowne i czcigodne nazwiska. Przesuwają się cienie Władysława Gubrynowicza, świątłego księgarza, Szczęsnego Bednarskiego, zasłużonego Guttenberczyka, Bronisława Komorowskiego, autora dramatów historycznych, literatów Tadeusza Czapelskiego, Edwarda Siedlaczka (Zorjana) i Mariana Gawalewicza, tak dobrze zapisanego w dziejach beletrystyki polskiej, przesuwają się cienie historyka-felietonisty Stanisława Schnuer-Pełtowskiego, profesora Józefa Kallenbacha i ojca jego Henryka księgarza, cienie prezydenta Lwowa Godzimira Małachowskiego, serdecznego przyjaciela młodzieży i twórcy popularnego parku doktora Henryka Jordana, pierwszego naczelnika Sokolstwa Antoniego Trzaski-Durskiego, w końcu uczonego wielkiej pracowitości i miary, Morskiego Oka żarliwego obrońcy – Oswalda Balcera. Z pobliskiego Chodorowa pochodził, a w latach 1867–68 zaprawiał w lwowskiej szkole ratuszowej rękę do pióra, przy pomocy którego tak świetnie pomnożył później skarb polskiej nauki.

Przesuwają się przed nami znane i darzone ogólnym szacunkiem postacie obu Bruchnalskich: Wilhelma, historyka literatury, i Kazimierza, zasłużonego wizytatora szkolnego, postacie doktorów Roberta Questa i Wincentego Czerneckiego, profesora Zbigniewa Pazdry i redaktora – prezesa Bronisława Laskownickiego.

A niby złota, kunsztownie cyzelowana kłamra wiąże i spina ogniwa nazwisk czcigodnych słusznie w wolnej Ojczyźnie wyższe nazwisko Leopolda Staffa.

Ze starej, nieistniejącej już dziś jednopiętrowki przy ulicy Skarbkowskiej, z pobliska nastrojowego zaułka koło Katedry Ormiańskiej – wychodził w latach 1884–1888 codziennie przed godziną 8 rano mały Poldek z tornistrem uczniowskim i przez Grodzickich pomykał na ulicę Ormiańską, gdzie w stylowej kamienicy, zdobnej bogatą płaskorzeź-

bą, mieściła się szkoła. W ciemnych oczach chłopca odbijał się już wówczas bogaty świat marzeń i przedziwnych zamyśleń. Tym marzeniom chłopięcym i latkom szczęśliwym, spędzonym w szkole ludowej, poświęcił Staff prześliczny sonet *Dzieciństwo*:

*Poezja starych studni, zepsutych zegarów,
Strychu i niemych skrzypiec pękniętych bez
grajka,
Zzółkła księga, gdzie uschła niezapominajka
Drzemie – były dzieciństwu memu lasem czarów...*

*Zbierałem zardzewiałe, stare klucze... Bajka
Szeptala mi, że klucz jest dziwnym darem darów,
Że otworzy mi zamki skryte w tajny parów,
Gdzie wejść – błądy księżę z obrazu Van Dycka.*

*Motylem potem zbierał, magicznej latarki
Cuda wywoływałem na ściennej tapecie
I gromadziłem długi czas pocztowe marki...*

*To było to, jak podróż radosna po świecie,
Pełne przygód odjazdy w wszystkie świata
części...
Sen słodki niedorzeczny, jak szczęście... jak
szczęście...*



Leopold Staff

Tekst pochodzi z książki Mieczysława Opałka pt. *Gawędy o dawnej szkole*, Lwów 1938.

Studniówka przed ćwierćwieczem

Wracając wspomnieniem do jubileuszu przed dziesięć laty

Komu dowcipu równo
Z wymową dostaje
Niech szczepi między ludzi
Dobre obyczajne.

Jan Kochanowski

Maturzyści w imieniu swych Rodziców i swoim własnym czynią wiadomym, iż odbędzie się Studniówka w szkole nr 10 m. Lwowa. Honor na nas spadnie niemały, gdy J.W.P. na tę uroczystość przybywając obecnością swą splendoru jej przydadzą – po staropolsku zapraszano gości.

Po wojnie tego zwyczaju nie było. Lata 1962–1990 – to tylko mała matura. Dopiero po raz czwarty maturzyści mają okazję *by do trzeciego piania kura radować się i weselić*. Jako jedyni we Lwowie, a i na całej Ukrainie staropolskiej tradycji najstarsi żakowie zadość uczynili.

Początek zabawy pod dźwięki poloneza. Dostojnie, elegancko zmieniali tancerze figury tańca narodowego. Wychowawczyni Bogusława Smirznowa (?) ruszyła z nimi w tan... Brawo za odwagę.

Krótki koncert zgodnie z tradycją szkoły. Teatralne miniatury. Naturalnie o tematyce szkoły.

Szczególny aplauz uzyskali dwaj lwowscy batiary – Mieciu i Broniu (Trautzel i Zajdel), swym dialogiem poruszając aktualnie nurtujące ich problemy, rozprawiali klasycznym lwowskim bałakiem.

– Serwus Mieciu!

– Serwus Broniu, ali po co mnie klipiesz, poklepujesz po plicach. Tu si ludzi na nas patrzą i widzą, że ty nic a nic ni masz kindersztuby.

– A ty Mieciu, ty masz kindersztuby?
– Ni mam, ali po co zaraz wszyscy mają o tym wiedzieć?

– To jak robić, żeby ni wiedzieli?

– Normalni, dawaj graby, zaściskamy se prawicy jak alianccy panowi w telewizorzy.

– A ty myślisz, że w telewizorzy to oni mają kindersztuby? I to ludzi na stanowiskach, a bałakaju aż uszy więdną.

– Coś nie widzy, żeby tobi uszy zwiędli.

Wprost przeciwni, są nawet dosyć socysty.

– A ty to niby masz gorszy?

– Wcali ni gorszy, Ali po co mamy sobi prawić komplementy. Mężczyznom to ni przystoi.

– Właśni, właśni. Prawdziwi mężczyźni bałakają o politycy albo interesach.

– Wariat! Kto by przy świadkach gadał o interesach. Przecież to komercyjna tajemnica, nie wisz?

– Ali o politycy też ni bardzo przy świadkach.

– Ta gdzie! Teraz dymukracja!

– Jak dla kogu... Jak dla kogu...

– Wisz co? Ogłosili konkurs na najlepszy wspomnienia. Można zarobić!

– I co z tego? Oni tam chom taki wspomnienia o Lwowi, czy Fredrze, czy Baczewskim, czy batiarach.

Ani ja, ani ty takich wspomnień nie mamy...



– To nawet naszy mamy takich wspomnień ni maju, chyba ży babci, albu prababci.

– Faktyczni. Moja mama pamięta tylko, że ulica Bandery to była dawniej Mira, a Konowalca nazywała si Engelsa. A jak si spotka z koleżanku, to mówiom tylko o pirożkach za 4 kopijki i o ciasteczkach za 22. No i tam różny taki liryczny wspomnienia, że szkoda na to papiru.

– Tak, tak, papir jest drogi. Pomyśl tylko, ile kosztują naszy zeszyty.

– Oj trudno. Tak mi si widzi, że nic ni zarobimy i żadny naszy marzenia ni mogu si spełnić.

– Ta czemu ni. Ja tak sobi myśli, że poniektóry mogliby si spełnić, ale dopiru na wiosny.

– A jak ni?

– Ta ty co! Niby czemu mieliby po 10 latach tak nas na zbity pyski!? Zresztu będziemy si uczyć.

– A na studia do Polski chciałbyś jechać?

– Pewni, ży tak. Tak głupio pytasz.

– A jak ni zdamy?

Śpiewają:

Ani ja, ani ty

Nie umimy roboty

Kupimy sy wózeczek,

Będzim wozić piaseczek

– A wiesz, że to może być jeszcze gorzyj? O wiele gorzyj...

Tak bałakali, gości zabawiali. Bal na trzy fajerki.

Tegoroczni maturzyści nie zamykają plejady inteligentnej, dowcipnej, wesołej rzeszy wychowanków słynnej lwowskiej „Magdusi”. Ich młodszy koledzy, charakteryzując żartobliwie każdego z maturzystów, przekonali obecnych, że nie brakuje im wspomnianych wyżej walorów.

Kur zapiał trzeci raz. Trzeba było się rozejść. A teraz mocno przysiąść fałdów. Matura tuż, tuż.

Znamienna. Bo tym razem jubileuszowa.

Dialog prowadzili:

Mieczysław Trautzel, Bronisław Zajdel

Jan Forowicz

OCHRONKA W SKOLEM

Wszystko zaczęło się od pomysłu pani Marii Srokowskiej, żony starosty skolskiego, osoby wrażliwej na powojenną niedolę ludzką, i współpracy z panem o nazwisku Kochański, pełniącego funkcję komisarza ustanowionego na czas pozaborowy, prawdopodobnie przez Lwowski Komitet Zarządzający. Kończyła się I wojna światowa. W domach i na ulicach wciąż wiele biedy. Mąż pani Marii, dr Józef Nowina-Srokowski, w 1917 roku sprawujący w Skolem funkcję administracyjną, miał masę swoich zajęć. Organizował skolskie ogniwa władzy odrodzonego państwa polskiego. Ale chociaż mocno sprzyjał i tej inicjatywie, jego małżonka sama wybrała się do Lwowa, do siedziby siostr Zgromadzenia Bożej Opatrzności i poprosiła o pomoc w urządzeniu „Bezpłatnej Kuchni” dla ubogich.

Dlaczego do tego właśnie Zgromadzenia? Państwo Srokowscy byli rodziną jednej z siostr. Zapewne pokrewieństwo skłoniło Srokowskich do skierowania swej prośby właśnie do Zgromadzenia Sióstr Opatrzności Bożej. Pełniejszą odpowiedź daje lektura powołania Zgromadzenia Sióstr Opatrzności Bożej. Powstało we Lwowie w 1857 roku, a więc w omawianym czasie, po 60 latach zdążyło już okrzepnąć organizacyjnie.

Za cel stawiano sobie wychowanie i kształcenie dzieci i młodzieży żeńskiej osieroconej oraz zaniedbanej wychowawczo i moralnie, prowadzenie szkół, przedszkoli, domów dziecka, internatów i zakładów naukowo-wychowawczych. Siostry służyły też pomocą rodzinom wielodzietnym, niepełnym, rozbitym i potrzebującym wsparcia.

PIERWSZE TRZY SIOSTRY

Odpowiadając na prośbę, przełożona generalna matka Monika Różańska deleguje do Skolego kilka siostr zakonnych. Magistrat przydziela im dom. I tak w Skolem zaczyna zakorzeniać się prowadzona przez siostry zakonne nowa instytucja pomagająca tym, którzy sami jeszcze sobie radzić nie

potrafili. Instytucja stopniowo rozbudowywana. W pierwszym okresie pomocy udzielano nie pytając, kim są potrzebujący. Następne inicjatywy skierowane były już do dzieci polskich wyznania rzymskokatolickiego.

We Lwowie na przełożoną w Skolem wyznaczono s. Wincentę Schongut. W celu pomocy przybyły z nią siostry Bonawentura Kaźmierczak i Feliksa Spaleniak. Trzy siostry stworzyły jadłodajnię i – jak wynika z kroniki – do marca 1918 roku codziennie wydawały po 120–150 obiadów.

Ta początkowo tylko „Bezpłatna Kuchnia” obrosła potem w kilka innych, dużo chyba ważniejszych dzieł. Zakonnice okazały się zdolnymi organizatorkami. Powstała jeszcze Ochronka, czyli coś więcej, niż się po dzisiejszemu rozumie dom dziecka czy przedszkole. Wkrótce dobroczynność sióstr staje się powszechnie znana. W miasteczku wieści krążą szybko.

O pomoc, oprócz osób dorosłych, zaczyna prosić dzieciarnia. Miały je nie tylko wykarmić, ale także zastąpić ognisko domowe. Ochronka zaczyna działać już we wrześniu 1917. W tym roku zaopiekowano się szesnaściorciem maleństw. Za dwa czy trzy lata w placówce jest ich już 27. W okresie dwudziestolecia wojennego wokół zakonnice skupiało się 40–50 wychowanków.

SKROMNE POCZĄTKI

Skąd czerpią środki na rozwijanie tej działalności? – od pierwszej chwili siostry wspiera grupa skolskich Polaków. Część z nich zadeklarowała nawet stałą składkę. Ale wciąż nie było dość pieniędzy. Przypomnijmy, że – na domiar złego – w tych pierwszych latach zaczyna się coś psuć w gospodarce, są już pierwsze oznaki hiperinflacji opanowanej dopiero w 1924 roku. Z pomocą spieszy zatem Zarząd Dóbr barona Groedla, posiadacza wielkiego gospodarstwa leśnego w tej okolicy. Dostarczał drewna na opał, paszy dla krów i odstąpił kawałek ziemi pod uprawę ziemniaków.

Od 1919 roku z Krakowskiego Funduszu Biskupiego środki na zakup żywności przydziałał ksiądz Jan Jasiński, proboszcz skolski. Sytuacja materialna poprawiła się radykalnie, gdy do placówki zaczęły z Ameryki napływać dary Polonii. Przypomnijmy, do udzielenia pomocy charytatywnej z Ameryki wezwał sam Ignacy Paderewski. Oprócz je-

dzenia dzieciarnia miała wtedy dość ubrań i bielizny. Niedługo potem, gdy siostry przyjęły kolejne dzieci....

POŻAR

W październiku 1920 Ochronkę i całe Skole spotkało nieszczęście. W nocy wybuchł pożar, który mimo pośpiesznego ratunku pochłonął połowę domu. Dzięki Bogu dziatwa nie doznała szwanku na zdrowiu. Niestety jedna z sióstr, Bonawentura, tak się tej nocy przeziębiła, że zapadłszy na zdrowiu, po kilkutygodniowej chorobie zmarła.

Zdewastowana siedziba nie może stanowić dachu nad głową. Kuria Metropolitalna stwierdza fakt: Skole, mimo natychmiast udzielonego siostrom wsparcia starostwa zapewniającego tymczasowe schronienie i wykonanie odbudowy, nie ma odpowiednich warunków mieszkaniowych. W kwietniu 1921 roku poleca powrót sióstr do macierzystego klasztoru we Lwowie. Ale mieszkańcy Skolego proszą o zmianę decyzji. Nie dopuścili do ich wyjazdu motywując swoje stanowisko słowami: *z obawy, że siostry już nie wrócą.*

I znowu daje o sobie znać polski zmysł organizacyjny. Odbudowę zajmuje się ksiądz proboszcz Edward Szczepanek. Ówczesny starosta Emil Golczewski rozwija w całej Małopolsce akcję pozyskiwania potrzebnych funduszy. Rozpisuje tzw. listy składkowe. Wnet zaczęły napływać datki. Baron Groedl zadeklarował wsparcie w postaci kolejnych dostaw wszelkich materiałów drzewnych. Budowa ruszyła wiosną 1921. Szybko powstał drewniany dom z sześcioma salami i kaplicą. Wkrótce siostry mogły w dobrych warunkach kontynuować swe zadania.

KOMITET OCHRONKI

Gdy ustala pomoc amerykańska, w Skolem powołano do życia komitet dla przysporzenia funduszu. Prezesem został pan Karol Dudra. Komitet przyjął nazwę Stowarzyszenie „Polska Ochronka w Skolem”. W statucie czytamy, że pozostaje ono *pod szczególnym patronatem rzymskokatolickiego Ordynariatu Metropolitalnego we Lwowie*. Oczywiście zarówno w dokumentach założeniowych, jak i w praktyce zawsze eksponowany był cel placówki w postaci takich działań wobec dzieci, aby kiedyś wyrosły na mądrych obywateli, czuły potrzebę

jedności w państwie polskim, z poszanowaniem zasad religii katolickiej. W zapisie statutowym prowadzenie powierzone zostało *kwalfikowanym siom* sióstr Zgromadzenia Bożej Opatrzności. Do sposobów działania, oprócz sprawowanej opieki bytowo-wychowawczej, zaliczano wtedy m.in. urządzenie przedstawień i wykładów. Prowadzi się też szwalnię, czyli – jakbyśmy to dzisiaj powiedzieli – działalność gospodarczą na małą skalę. Samo Stowarzyszenie zobowiązuje się do rzetelnego przestrzegania ustawodawstwa Rzeczypospolitej.

Czym wtedy gospodarowali? Majątek Stowarzyszenia stanowiła działka nr hipoteczny 901 w Skolem, budynek oraz inwentarz ruchomy: żywy i martwy. Dbając o dobro finansowe placówki członkowie Stowarzyszenia zobowiązali się do składki stałej lub wniesienia jednorazowej znacznej wpłaty rocznej. Statut był napisany wg najlepszych wzorców. Przewidywał różne sytuacje, a nie był przegadany w treści. Jak czytamy w statucie, spory pomiędzy członkami rozstrzygał „superarbiter” wyłoniony z sądu polubownego.

REGULAMIN

Siostry pracowały przy dziełwie w sposób ustalony powołaniem. Potrzebne było ustabilizowanie zasad dziełwania. Całe przyjazne otoczenie starało się je wspomagać także regulacjami prawno-organizacyjnymi. To świadczy o dziełwalności obywatelskiej. Po rejestracji statutu sporządzony został m.in. *Regulamin Polskiej Ochronki dla Dzieci w Skolem*. Przewidywał czytelnny tryb przyjmowania do placówki. Dotyczyło to sierot zupełnych i – w miarę możliwości – półsierot. W Ochronce można było pozostawać najdalej do 18 roku życia. O przyjęciu na pełne utrzymanie z zapewnieniem wyżywienia i odzieży decydował odpowiedni wydział Stowarzyszenia. Zapisane zostały również dość nowatorskie na owe czasy zadania, a m.in. szczególnie ważne utrzymanie higieny. *Personel* – czytamy – *stanowią siostry jako wychowawczynie i instruktorki przysłane przez Generalną Przełożoną na prośbę Stowarzyszenia*. Pełnią codzienne dyżury. Są też nauczycielkami. Ich wysiłek nie jest wynagradzany.

Dzieci dzielono wg grup wiekowych. Te od 2 do 7 lat traktowane były jak przed-

szkolaki i wychowywane metodą freblowską, czyli w dbałości o równomierny rozwój fizyczny i umysłowy. Dzieci w wieku od 7 do 14 lat posyłano do miejscowej szkoły podstawowej.

Z biegiem lat dziełwalność sióstr cieszy się coraz większym uznaniem Skolaków. Zgłaszane są nowe inicjatywy zmierzające do poprawy warunków dziełwania. Z dokumentów z 1934 r. dowiadujemy się, że wspomniana *realność nr hip. 901 przy ul. Marszałka J. Piłsudskiego nr 1 w Skolem zostaje przekazana formalnie jako darowizna na rzecz Stowarzyszenia Sióstr Zgromadzenia Bożej Opatrzności we Lwowie*. Równocześnie nakłada się na obdarowane *obowiązek postawienia w przedniej części ogrodu dwupiętrowego, murowanego gmachu odpowiedniego na pomieszczenie 40 wychowanków względnie sierot bez różnicy płci. Budowa musi się zakończyć jesienią 1935 roku*. Umów dotrzymano.

ZASŁUŻONE, A ZA MAŁO ZNANE

Co wiemy o siostrach tam pracujących? Trudno o pełne dane, zwłaszcza po siedemdziesięciu kilku latach. Ks. Łukasz Walawski, obecny proboszcz odrestaurowanego przez jednego z poprzedników, ks. Jana Nikła, kościoła parafialnego pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny Siedmiu Bołości w Skolem, gromadził materiały do opracowania tego artykułu. Jest wśród nich kilka informacji o siostrach dziełających w Skolem.

s. Albina Maria Nespół, ur. 1900 we Lwowie, c. Franciszka i Michaliny Kaczorskiej. Do Zgromadzenia wstąpiła w 1925 r. Pierwszą profesję złożyła w 1928, a wieczystą w 1936 roku. W Skolem pracowała jako wychowawczynie w l. 1928–1931. Zmarła w 1999 w Łące k. Rzeszowa.

s. Bronisława Katarzyna Walkowiak, ur. 1889 w miejscowości Maciejowa, parafia Czerwona Wieś, Poznańskie, c. Mikołaja i Marianny Mieśkievicz. Do Zgromadzenia wstąpiła w 1910, pierwszą profesję złożyła w 1913, a profesję wieczystą w 1919 r. W Skolem pracowała w kuchni w l. 1928–1933. Zmarła w 1962 w Łące k. Rzeszowa.

s. Paula Pelagia Dyga, ur. w 1871 w Chorzwie, c. Franciszka i Doroty Ellgott. Do Zgromadzenia wstąpiła w 1883 we Lwowie; pierwsza profesja w 1897 r., profesja wieczysta w 1904 r. W latach 1929–1932 była w Skolem przełożoną. Zmarła w 1962 r. w Bytomiu.

s. Władysława Waleria Babicz, ur. w 1899 r. na Jamajce, c. Jana i Marii Dragon. Do Zgroma-

dzenia wstąpiła w 1926; pierwszą profesję złożyła w 1929 r., a wieczystą w 1935 roku. W Skolem była wychowawczynią w latach 1929–1934. Zmarła w Przemyślu w 1985 r.

s. Germana Stefania Narojkowska, ur. w 1884 r. w Warszawie, c. Józefa i Emilii Siedleckiej. Do Zgromadzenia wstąpiła w 1906 r. Pierwszą profesję złożyła w 1909, wieczystą w 1916 r. W Skolem była przełożoną w latach 1926–1929. Zmarła w 1956 r. w Jodłowniku (obecnie Wodziałów Śląski).

s. Małgorzata Maria Fila, ur. w 1889 r. w Sanoku, c. Szymona i Katarzyny z Solonów. Do Zgromadzenia wstąpiła w 1913 r. we Lwowie. Pierwszą profesję złożyła w 1916 r. we Lwowie, a wieczystą w 1922 także we Lwowie. Zmarła w 1956 w Międzyrzeczu Podlaskim.

s. Paula Helena Pawlak, ur. w 1906 w Łodzi, c. Jana i Marii Piechockiej. Do Zgromadzenia przyjęta w 1924 r., pierwszą profesję złożyła w 1927, a wieczystą w 1933. Zmarła w 1987 r. w Wielkiej Wsi.

W innym dokumencie pojawiają się jeszcze trzy nazwiska: s. Zygmunta Pieta, s. Bogusława Stefańska, s. Justyna Kiernoz. Wcześniej, korzystając z fragmentu napisanej w 1936 r. *Kroniki Zakładu SS. Opatrzności w Skolem* autorstwa ks. dra Alojzego Jougana, profesora Uniwersytetu im. Jana Kazimierza, przeczytaliśmy o pierwszej trójce sióstr delegowanych do Skolego w 1917 r. Były to wspomniane już s. Wincenta Schongut, przełożona s. Bonawentura Kazimierczak i siostra Feliksa Spaleniak.

Te wszystkie osoby wymieniam, ponieważ pojawiły się w dostępnych mi materiałach, trzeba przyznać, dość fragmentarycznych. Z kwerendy dokumentów archiwalnych Zgromadzenia, którą przeprowadziła siostra Wenancja Marta Jednac wynika, że w Skolem przez cały okres działalności placówki pracowały 34 siostry Zgromadzenia. Wielkie dzięki, Siostrze, za pomoc! Dopiero ta liczba ukazuje skalę pracy wykonanej przez Zgromadzenie na rzecz skolskiego przedsięwzięcia charytatywno-wychowawczego. Zgodnie wspomnimy te wspaniałe zakonnice. Czytelniku, racz zwrócić uwagę, z ilu miast przybyły one do Skolego!

KRES KŁADĄ WSPÓLNIE OBAJ AGRESORZY

Po wybuchu II wojny światowej we wrześniu 1939 do Skolego wkraczają najeźdźcy rosyjscy. Sztab okupacyjny działający zgodnie z wytycznymi NKWD usiłuje przerobić całe Skole na sowiecką modłę. Za chwili-

łą popsują wszystko, co zbudowała II RP. Ochronka zostaje rozwiązana, bo przecież okupant już obwieszcza, że w jej miejsce Kraj Rad da miasteczku namiastkę tzw. „sadczyk dietiej”. W takim „sadczyku” – jak zapowiadają – będą po wsze czasy czcić Lenina i Stalina. Na czas zmian organizacyjnych szefem mianują dobranego gościa, z zawodu szewca.

Nie tak dawno wzniesiony budynek Ochronki użytkuje teraz Armia Czerwona. Siostrze nakazano wyprowadzenie się i zdjęcie szat zakonnych. Wolno im w cywilnych ubraniach pracować u bardziej majątnych ludzi. Wśród wychowanków narasta poczucie niepewności losu. Część musi wrócić do rodzin.

SOWIETÓW WYPIERAJĄ NIEMCY

Latem 1941 do Skolego wchodzi Wehrmacht. Niemieckie władze okupacyjne zwracają siostrze bardzo już zniszczony przez Rosjan budynek Ochronki. Czyżby byli bardziej ludzcy od Moskali? Nie chwał dnia przed zachodem słońca. Po wznowieniu działalności spokój nie nastał na długo.

W krótkim czasie pod okupacją niemiecką siostry skutecznie odtwarzają dzieło po sowieckiej destrukcji. Trzeba nawiązać kontakt z rozproszonymi wychowankami. Małą grupką dzieci opiekują się siostra przełożona Małgorzata Filak i s. Paula Pawlak jako kucharka. A siostry Zygmunt Pieta, Bogusława Stefańska i Justyna Kiernoz – nadal w świeckim przebraniu – wynajmują się do pracy u ludzi lepiej sytuowanych. Bardzo pomagają ówczesny proboszcz.

Jest to jednak czas wojny. Wtedy co chwila dochodzi do sytuacji ekstremalnych. Mamy przykład cywilnej odwagi. Siostra Filak podejmuje szczególne ryzyko. Na poddaszu udziela schronienia rodzinie żydowskiej. W spisanych wspomnieniach jednej z wychowanek czytamy, że dla „braci starszych w wierze” narażała własne życie. Po latach autorka napisze: Wyobrażam sobie, jak truchlała, kiedy my małe głuptasy dowiedziałyśmy się o istnieniu Żydów i że w każdej chwili może się coś stać wskutek możliwego niezachowania tajemnicy przez dzieci, że mogą wpaść Niemcy. Gestapo mieściło się w bliskim sąsiedztwie Ochronki. Pan Bóg miał nas w swojej opiece od początku do końca.

W sierpniu 1944 w całej dolinie Oporu i po wzgórzach otaczających Skole rozlega się kanonada artyleryjska, słychać wybuchy bomb. We wspomnieniach czytamy: W budynku zastukały podkute buty Niemca. Za chwilę walenie w drzwi. Po otwarciu s. Filak usłyszała: *Brać tylko tyle, ile się samemu uniesie, i marsz na dworzec kolejowy.*

ROBOTY PRZYMUSOWE I PONIEWIERKA

Niemcy wywieźli część osób do Reichu. Transportowali towarowymi (wtedy mówiło się bydłęcymi) wagonami. Wśród wywiezionych Skolaków dwie siostry i kilka wychowanic. Podróż trwa 9 tygodni.

Po drodze rozdzieliły się. Z przytaczanych już wspomnień wynika, że siostra Filak i dwie dziewczynki z wagonu towarowego wysiadły w Austrii. Potem oddano je niegodziwemu Niemcowi do prac przy zbiorach rolnych prowadzonych od świtu do nocy. Dziewczynkom – trzynastolatce Zosi Sacher-Metropolit i pięciolatce Jance Sobolewskiej, siostra dla bezpieczeństwa każe tytułować się mamą.

Razem trafiły następnie do obozu pracy przymusowej. Przeszły gehennę.

Na kim się tak znęcano? Kilkunastoletnia wtedy Zofia Sacher-Metropolit była praktycznie sierotą. Gdy przyjmowano ją do Ochronki liczyła dwa lata. Wprawdzie żył jeszcze ojciec, zwykły robotnik, ale bez szans na zapewnienie czwórce dziatwy nawet skromnych warunków życia. Oddana więc została pod opiekę s. Małgorzaty Filak, przełożonej, i wychowawczyń: s. Zygmunty Piety i s. Bogusławy Stefańskiej. Kucharzyła im s. Justyna Kiernoz. Pod ich okiem zaczęła dorastać. *Pamiętam tamte dni, pisze Zosia. Czułam się kochana. Może dlatego, że byłam taka mała.*

W chwilach najcięższych myślały o czymś przyjemnym, o skolskiej Ochronce. Przypominały sobie, że zajęcia dziewcząt obejmowały naukę kroju i szycia, haftu i robót artystycznych. Że urządzano wycieczki do Lwowa. Bardziej uzdolnione wychowanki po ukończeniu szkoły siedmioklasowej posyłały do nieodległego Stryja. Mieszkały wtedy u sióstr serafitek. Wspominały, że znane Zosi starsze koleżanki zostały tam przygotowane m.in. do prowadzenia prac biurowych i następnie znalazły zatrudnienie w Skolem. Że niektóre pojechały uczyć się w Warszawie.

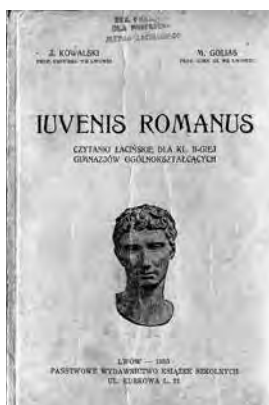
KONIEC WOJNY, A W SKOLEM JUŻ NIE BĘDZIE OCHRONKI

W rezultacie haniebnych postanowień układu jałtańskiego Skole znalazło się poza granicami państwa polskiego. Moskwa zaczyna instalować w miasteczku komunizm, pacyfikuje banderowców, stawia swoje pomniki. W działaniu instytucji kościelnych oznacza to odcięcie kontaktów Polski ze Skolakami i demontaż wielu cennych, przedwojennych inicjatyw.

Rozproszone siostry tak pięknie zapisane w historii Skolego odnajdują drogę powrotną, ale już nie do tego miasteczka. Dachy nad głową udzielają im ośrodki zakonne w Polsce. Po zakończeniu II wojny światowej wraca siostra Filak, a z nią dwie dziewczyny Janka i Zosia, której pamiętnik cytowałem. Wróciła również siostra Paula z Węgier. Zakonnice zamieszkały w Międzyrzeczu Podlaskim. Obie wychowawice skierowane zostały do placówek zakonnych w Przemyślu, gdzie otrzymały opiekę i wykształcenie.

Nastał nowy wiek XXI. Już nie ma wielu wymienionych w artykule osób duchownych i świeckich. Tym bardziej warto zachować w pamięci ich zasługi położone w II Rzeczypospolitej dla małego miasteczka Skole.

Archiwum



Z profesorem Władysławem Zalewskim

rozmawia Janusz M. Paluch

Prof. Władysław Zalewski, w tle obraz
Kaczoza Bątownskiego



Panie Profesorze, kiedy umawialiśmy się na rozmowę, wspominał Pan o swoich kontaktach lwowskich na płaszczyźnie zawodowej...

Rzeczywiście od lat mam zawodowe, choć nieformalne kontakty ze środowiskiem historyków i konserwatorów lwowskich. Najdłużej współpracuję z Andriejem Salukiem z Towarzystwa Miłośników Starego Lwowa. Od wielu lat omawiamy najważniejsze sprawy konserwatorskie we Lwowie. Oczywiście wszystko na gruncie prywatnym, bo Andriej Saluk nie pełni żadnych funkcji urzędowych w tamtejszej rzeczywistości konserwatorskiej. Ale jest bardzo wyczulony i inteligentny i doskonale wyznaje się na wszystkich sprawach w zakresie konserwacji zabytków. Znam również panią Lilię Onyszczenko, konserwatora zabytków miasta Lwowa, która przyjeżdża zwykle na spotkania na tę stronę, także do Krakowa. To z nią przez lata omawiałem sprawę cukierni przy ul. Akademickiej 10 (obecnie prospekt Szewczenki), gdzie znajdowała się cukiernia mojego ojca – Władysława Zalewskiego. Przez wiele lat działała tam ukraińska firma cukiernicza „Switocz”, której główna siedziba mieściła się

w Kijowie. Staralem się też przez konsulat polski utrzymywać kontakt z tymi, którzy zarządzali tą cukiernią. I zawsze były to bardzo miłe i uprzejme relacje. Nawet panie, które pracowały w tej cukierni, wiedziały kim jestem i dlaczego ciągle przychodzę do tej właśnie cukierni, dlaczego tak bardzo interesuję się tym miejscem. Przez lata, zarówno za czasów ZSRR, jak i Ukrainy, nie zrobiono żadnych zmian w cukierni, które zasadniczo zmieniałyby jej wystrój w stylu *art deco*. Nadal zachowana jest w dobrym stanie piękna opuszczana zewnętrzna krata wystawy oraz elementy wnętrza. Niestety firma Switocz trzy lata temu sprzedała sklep, co było według mnie wielkim błędem. Sklep stał co najmniej przez dwa lata nieużywany, ponieważ pani konserwator, dzięki moim namowom, chcącym go wynająć podmiotom stawiała zasadniczy warunek: nie można zabytkowego wnętrza przerabiać, musi być utrzymany styl *art deco*. Uzasadnienie nie było trudne, bo przecież to słynne kraty wystawiennicze przez lata stały się symbolem w ukraińskich wydawnictwach traktujących o lwowskim *art deco*. W końcu znalazła się jakaś firma, która zgodziła się uwzględnić stawiane przez konserwatora zabytków warunki. Udało się do dzisiaj zachować te symboliczne kraty wystaw, stiukowe dekoracje wnętrz oraz – najważniejsze – bardzo ozdobny sufit z kryształowymi szybami. Ale tylko to... Nie udało się utrzymać lad sklepowych. Te dawne były mosiężne, z kryształowymi szybami. W ich miejsce postawiono nowe lady, restauracyjne. Zapewniano mnie, że zabytkowe lady zostały zdemontowane i bezpiecznie zmagazynowane. Ale ja ich nie widziałem, więc nie mam pewności, czy rzeczywiście nie przepadły.

Cukiernia Zalewskiego owiana jest legendą. Wspominają o niej pamiętnikarze, o wspólnych wystawach i smaku słodczy z tej cukierni. A przecież to nie była jedyna cukiernia we Lwowie w tamtych czasach...

Nie była jedyna, ale po latach okazało się, że niepowtarzalna! Pewnie tej legendzie pomogła filia cukierni, jaką ojciec założył w Warszawie na Krakowskim Przedmieściu, ale nade wszystko pamięć lwowiaków wypędzonych z rodzinnego miasta i tęskniących do niego poprzez zapamiętane obrazy, smaki i zapachy. A cukiernia ojca miała swój styl,

zmieniające się wystawy przyciągały dzieciarnię z rodzicami, a produkowane przez ojca czekolady, marcepany, torty... Takich słodczy pan nigdzie na świecie nie spotka. Wiem, co mówię, bo po szkole często przesiadywałem w cukierni i fabryce czekolady, gdzie podjadałem słodczy – oczywiście wbrew zakazom ojca... Styl *art deco* panował wówczas we wszystkich lwowskich kamienicach, wystroju wnętrz, widoczny w wyposażeniach – zwłaszcza sklepowych. Ojciec także dbał o to w sposób szczególny. Sam miał zacięcie artystyczne. Jego ojciec, założyciel firmy, Ludwik Zalewski, zapisał go na kurs malarstwa do pracowni słynnego we Lwowie artysty malarza Stanisława Kaczor-Batowskiego. We Lwowie nie było wówczas uczelni kształcącej artystów plastyków czy konserwatorów sztuki, a Stanisław Batowski prowadził w swojej willi przy ul. Królowej Zofii kursy malarstwa i rysunku. Z tamtych czasów posiadam dwa obrazy namalowane przez ojca – jeden przedstawia gotycki zaułek, którego nie udało mi się zidentyfikować, drugi pokazuje dworzec kolejowy. Oczywiście obrazów namalowanych przez ojca było wiele więcej, ale ja uważam te dwa za najlepsze. Te obrazy przyjechały z nami ze Lwowa w 1947 r. Moja matka, Katarzyna *de domo* Nowakowska, niesłychanie dbała o pamiątki rodzinne i potrafiła – mimo niezwykle trudnych warunków – wywieźć je ze Lwowa do Krakowa w czasie naszej ekspatriacji. Moja babcia ze strony mamy pochodziła z Krakowa... Mój ojciec, będąc wrażliwym na sprawy sztuki, zakładając swoją cukiernię przy ul. Akademickiej 10 w początkach lat 30. XX w., nawiązał

współpracę z Krystyną Petry-Przybylską, lwowską malarką i graficzką. Znana była z projektów wnętrz i plakatów przygotowywanych na potrzeby słynnych lwowskich Targów Wschodnich. Natomiast architektem, który wykonywał prace budowlane w cukierni, był niejaki Piotrowski.

Także słynna Kawiarnia Ludwika Zalewskiego powstała znacznie wcześniej, też przy ul. Akademickiej...

Kawiarnia była przy ul. Akademickiej 22, założona przed I wojną światową przez mego dziadka Ludwika. Od niej zaczęła się budowa przez ojca fabryki czekolady, która miała siedzibę przy ul. Zimorowicza – boczna od ul. Akademickiej. Fabryka zajmowała całą oficynę. Tam ustawione były sprowadzone ze Szwajcarii urządzenia do wyrobu czekolady oraz pracownie do konstrukcji tortów. Przy produkcji zatrudnionych było około 60 cukierników różnej klasy. Jedni robili torty, drudzy produkowali rozmaite gatunki czekolad. Produkty trafiały na Akademicką 10, gdzie w podwórzu znajdowała się pakownia. Przy pakowaniu, zawijaniu stanioli, wkładaniu do pudełek zatrudniona była kilkunastoosobowa obsługa. Strona plastyczna opakowań opracowana była właśnie przez panią Krystynę Petry-Przybylską. Przy Akademickiej 10 było też biuro, w którym nie było, jak za czasów socjalistycznych, wielkiej kadry urzędniczej. Pracowali tam miła pani sekretarka i pan buchalter. Buchalter prowadził całą księgowość, a sekretarka załatwiała wszystkie urzędowe sprawy firmy – korespondencję, sprawy kadrowe etc. Kiedy ojciec był w dobrym humorze i miał czas, przywoził mnie ze szkoły do cukierni i mogłem sobie chodzić i oglądać pakownię, być częstowanym czekoladkami, przyglądać się pracy pana buchaltera, który siedział na pięterku i miał oko na wszystko, co się dzieje w pakowni, być podejmowanym herbatą i słodczymi przez panią sekretarkę. Wskutek tego dobrze pamiętam urządzenie sklepu i zaplecza. Mój ojciec Władysław poświęcał swojej pracy bardzo wiele czasu; wytwórnia cukiernicza, kawiarnia, sklepy we Lwowie i Warszawie nie pozostawiały mu wiele czasu dla rodziny. Dlatego tak bardzo ceniliśmy my – dzieci możliwość spędzenia krótkich wakacji czy wyjazdów autem na niedzielne wycieczki.



Cukiernia Zalewskiego wieczorem

Panie Profesorze, skoro Pański tato pobierał lekcje malarstwa u dość znamienitego artysty malarza, to musiał być zamysł dalszego kształcenia w tym kierunku. Co się stało, że jednak został cukiernikiem?

Musimy zatem przenieść się do czasów młodości Ludwika Zalewskiego – mojego dziadka, przełomu XIX i XX w., do Krakowa. Dziadek przesiąkł artystyczną atmosferą Krakowa, pracował bowiem w cukierni u Michalika przy ul. Floriańskiej, gdzie królował wtedy kabaret „Zielony Balonik”. Jestem w posiadaniu świadectwa pięknie wypisanego przez Jana Michalika, polecającego zdolnego cukiernika Ludwika Zalewskiego: *Świadectwo, mocą którego stwierdzam, że pan Ludwik Zalewski pozostawał u mnie jako współpracownik, to jest od 15 sierpnia 1895 do 24 grudnia 1900, przez cały przeciąg tego czasu sumiennym spełnianiem obowiązków i pracowitością zasłużył sobie na moje uznanie. Kraków 24 grudnia 1900.* Podpisy: *Jan Michalik właściciel Cukierni Lwowskiej.* A dokument potwierdzony jest przez wiceprezydenta miasta Krakowa. To świadectwo dziadek przedłożył władzom Lwowa, kiedy starał się o założenie kawiarni we Lwowie. Wiemy, czym była cukiernia Michalika dla świata artystycznego w Krakowie, więc dziadek, przesiąknięty tym, chciał go przenieść do Lwowa. Dziadek myślał, że w kawiarni przy ul. Akademickiej 22 stworzy miejsce spotkań ludzi z artystycznego świata Lwowa. W jego otoczeniu znajdowali się artyści, wspomniany Kaczor-Batowski oraz Sichulski. Wśród rodzinnych pamiątek mam dwa rysunki Kaczor-Batowskiego, projekty bonów, które projektował po I wojnie światowej, jakie wydawały firmy wskutek dewaluacji pieniędzy. Te bony były w tamtych czasach stabilniejszą walutą niż ówczesna marka polska. Pierwszy projekt



o nominale jednej korony przedstawia kwadrygę, a drugi, który nigdy nie został wprowadzony do obiegu, przedstawia Obrońców Lwowa z 1918 r. Jest też rysunek na papierze pakunkowym, przedstawiający dziadka, narysowany przez Sichulskiego oraz jego obraz *Zuzanna w kąpeli*. W praktyce stało się inaczej... Nie udało się przyciągnąć do kawiarni świata artystycznego. Kawiarnia dziadka – mam też reklamy nowo otwieranej cukierni Ludwika Zalewskiego – stała się miejscem spotkań profesorów Uniwersytetu Jana Kazimierza. Ja znałem tylko jedną osobę ze środowiska uniwersytetu lwowskiego. Była to pani prof. Karolina Lanckorońska, której byłem stypendystą, już w latach końca XX w., w Rzymie. A ojciec został powołany do armii austriackiej, przeszedł m.in. przez włoski front, potem było wojsko polskie i wojna polsko-bolszewicka, m.in. zdobywał Kijów pod wodzą Śmigłego-Rydza. Kiedy wyszedł z wojska po 1920 r. zajął się pracą w kawiarni ojca i został cukiernikiem i przedsiębiorcą.

Panie Profesorze – muszę w tym miejscu zapytać o Pańską drogę zawodową... Czy gdyby nie ta tragiczna II wojna światowa, poszedłby Pan w ślady swego dziadka i ojca i zostałby Pan cukiernikiem? Przecież Zalewski to była firma znana nie tylko we Lwowie, ale i w Warszawie, a legenda tworzyła prawdziwą cukierniczą markę!

Oczywiście ojciec zaplanował moją karierę zawodową... Mój starszy brat, który nosił, jak dziadek, imię Ludwik, od dziecka interesował się chemią. Już w gimnazjum uznawano go za przyszłego chemika. A z chwilą, gdy produkując w domu proch strzelniczy wysadził zwieńczenie kredensu w kuchni, ojciec poruszony tym wypadkiem powiedział do mnie tak: *Ty poprowadzisz cukiernię, bo Ludwik to będzie chemikiem!* (śmiech) Więc miałem taką perspektywę przed sobą,



która się skończyła w 1939 r. Miałem zainteresowania plastyczne, lubiłem rysować. Często były to karykatury. M.in. przyjazd do Krakowa w 1947 r. nastąpił wskutek tego, że w szkole radzieckiej znaleziono rysunki, wprawdzie nie moje, ale mnie posądzono o ich autorstwo, bo wszyscy wiedzieli, że ja namiętnie rysuję. Tymczasem narysował je kolega, który napisał także wywrotowy wierszyk: *But ja na seli, tam ja pasał byki, a teper u Lwowi komysar weliki*. Była satyra na sowietów. Nauczycielka, Ukrainka, dała znać do NKWD. Zaczęli wzywać nas, uczniów i rodziców na przesłuchania. Moja mama została także wezwana do dyrektora szkoły, gdzie powiedziano jej, że to ja jestem autorem wywrotowych materiałów. Matka tak się tego przeraziła, że z miejsca zarejestrowała się na wyjazd do Polski, mimo że ojciec jeszcze żył na Syberii. Matka chciała być we Lwowie, bo łudziła się nadzieją, że wróci... Ojciec nie wrócił, zmarł na Syberii. Jego śladów szukał mój syn Paweł... A ten incydent przyspieszył nasz wyjazd!

Pozwolili wam wyjechać w trakcie prowadzonego śledztwa?

Pozwolili. W tym przypadku chyba nie było żadnego powiązania, bo przecież dą-

żyli do tego, żeby Polacy jak najszybciej wyjechali ze Lwowa. Kto się zarejestrował, mógł wyjechać.

Znaleźli twórcę wywrotowego wiersza i rysunku?

Był nim nasz kolega, nazywał się Homola. Jego ojciec był lekarzem. Synowi załatwił świadectwo niepoczytalności. Wiedział, że jest wielu podejrzanych, między innymi ja. Stawił się na NKWD, ujawniając syna starał się ratować innych. Bardzo odważnie postąpił. I nikomu nic się nie stało.

Wspomniał Pan Profesora spotkania z prof. Karoliną Lanckorońską. Czy mógłby Pan o nich opowiedzieć?

To była niezwykła kobieta! Zajmowała się wszystkimi historiami i historiami sztuki z Polski, którym fundowała stypendia. Sama była z wykształcenia historykiem i historykiem sztuki. I jako docent prowadziła te przedmioty na UJK we Lwowie. Pamiętała czasy, kiedy w towarzystwie profesorów uniwersytetu bywała w kawiarni przy Akademickiej. Podczas ostatniego z nią spotkania dużo mówiła o lwowskich czasach. Będąc na stypendium mieszkalem w pokojach gościnnych Instytutu Historiae Polonicae Romae. Pani Profesor często zapraszała mnie na kolacje, podczas których omawialiśmy różne sprawy polskie. Były to czasy PRL-u, więc rozmowy dotyczyły nie tylko historii. Jej zaufana służąca, która była ważną osobą w Instytucie Historiae, przygotowywała zawsze kolacje, które pani profesor podgrzewała, częstowała nas piwem albo dobrym winem... Najczęściej wspominała prof. Lecha Kalinowskiego, swego ucznia, który po wojnie został profesorem na UJ. Głównie rozmawialiśmy o sztuce włoskiej. Ona była wielbiczką Michała Anioła. Z niezwykłą precyzją ustawiała mnie, kiedy, gdzie i co mam zobaczyć – z lornetką, a co bez lornetki. Dotyczyło to także Kaplicy Sykstyńskiej, w której podjęto wówczas wielką konserwację. Dzięki niej poznałem włoskich konserwatorów, którzy dopuszczali mnie na rusztowania. Oczywiście robili to za pozwoleniem kardynałów, którzy zajmowali się sztuką na Watykanie, a ci kardynałowie byli zaprzyjaźnieni z panią profesorem. Stąd te możliwości oglądania przeze mnie i mojego kolegę prof. Andrzeja Tomaszewskiego

Jadwiga, Halina, Władysław z matką Ewą Zalewską, żoną Ludwika



z bliska wielkiego dzieła Michała Anioła. Prof. Tomaszewski, późniejszy główny konserwator w zabytków Warszawie i profesor Politechniki Warszawskiej, dyrektor instytutu ICROM w Rzymie, z którym poznałem się w Wiślicy w czasie prac konserwatorskich, również był stypendystą prof. Karoliny Lanckorońskiej. Co ciekawe – jechaliśmy na stypendia Karoliny Lanckorońskiej, ale to nie ona przysyłała zaproszenia. Zaproszenia wysyłała pani Umiastowska, która była tolerowana przez władze PRL-owskie. I choć finansowo wszystko załatwiała pani prof. Lanckorońska, to oficjalnie byłem stypendystą pani Umiastowskiej. Warto przypominać i podkreślać, że wielu profesorów UJ, Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu czy Uniwersytetu Warszawskiego – historyków i historyków sztuki, tylko dzięki prof. Lanckorońskiej miała możliwość wyjazdów poza granice Polski. Ja byłem jednym z tych, których nigdy nie wypuszczano za granicę, mimo że pracowałem na uczelni i powinienem wyjeżdżać. Nigdy nie dostałem stypendium ministerialnego, mimo że mi obiecywali i starałem się o to przez dziesiątki lat! W końcu, po latach, powiedzieli mi w ministerstwie z dużą ulgą: *Pan przekroczył limit wieku, by na stypendia jeździć*. Najbliższym współpracownikiem pani prof. Karoliny Lanckorońskiej w Polsce był najsłynniejszy profesor UJ, historyk sztuki prof. Lech Kalinowski. To on organizował w Polsce wszystkie stypendia. A ja się uważam za jego ucznia, mimo że nie kończyłem studiów uniwersyteckich, a na ASP, ale prof. Kalinowski opiekował się naszym wydziałem konserwacji pod względem naukowym. Ścisłe współpracował z prof. Józefem Edwardem Dutkiewiczem, który przyczynił się do powołania Wydziału Konserwacji na krakowskiej ASP po II wojnie światowej. Był kontynuatorem dzieła rozpoczętego przed II wojną przez prof. Wiesława Zarzyckiego, wieloletniego dyrektora Państwowej Szkoły Sztuk Zdobniczych i Przemysłu Artystycznego przy ul. Mickiewicza 5 w Krakowie, a w 1947 r. założycielem Studium Konserwacji Zabytków przy Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych, oraz Juliusza Makarewicza, który był najsławniejszym XIX-wiecznym polskim konserwatorem. Dzięki temu powstała tzw. polska szkoła konserwatorska. A prof. Kalinowski, będąc we Lwowie uczniem pani

prof. Karoliny Lanckorońskiej, był naukowcem o światowym poziomie jako historyk sztuki średniowiecza zarówno w Polsce, jak i w Stanach Zjednoczonych.

Pan Profesor opuścił Lwów w wieku prawie szesnastu lat w 1947 r., do Lwowa powrócił pan po kolejnych 16 latach jako przedstawiciel delegacji krakowskiej ASP. Jak Pan zapamiętał ten pobyt?

Pojechaliśmy wtedy do Lwowa z prof. Dutkiewiczem i historykami sztuki, którzy zorganizowali wtedy jedną z pierwszych wycieczek do Lwowa. Moje spojrzenie na Lwów jest może nietypowe. Lwów utkwił mi w pamięci już z okresu powojennego, jak został „wyzwolony” przez Armię Czerwoną. To był chyba największy upadek miasta na przestrzeni wieków. Nastąpiło to w okresie, które pamiętam jako chłopiec. Wszystkie sklepy były pozamykane, spuszczone rolety wystaw, wszędzie wystające kominy piecyków, tzw. kóz, w których palono m e b l a m i, wokół prerażająca nędza, rozbite bruki, walające się śmieci. Pamiętając ten widok z lat 1944–1947, z chwilą gdy przyjechałem w 1963 r. do Lwowa, dziwiłem się, że są trawniki, naprawione chodniki, wydawało się że to miasto doprowadzono do porządku. Więc dla mnie miasto, które oglądałem w 1963 r., wydawało się miastem sielankowym, w porównaniu z tym co zapadło mi w pamięci. Nasze miasto okupowane przez sowietów w latach 1939–1940 r. było jeszcze atrakcyjnym miejscem, z przedwojennymi domami, ulicami, a nawet do pewnego stopnia skle-



Artystka malarzka Wanda Macedońska, żona prof. W. Zalewskiego

pami, w których pozostały jeszcze sprzed września 1939 r. resztki towarów. Sowieci, którzy przyjeżdżali do Lwowa jako urzędnicy, pełniący jakieś funkcje okupacyjne, czuli się szczególnie wyróżnieni tym, że zostali wysłani do takiego rajku, w porównaniu z poziomem kulturowym, jaki prezentował wtedy Związek Radziecki, wszystko jedno czy republiki ukraińskiej, białoruskiej czy Rosji. Tam od pierwszej wojny światowej panowała skrajna nędza. Mieszkaliśmy wtedy w dużym mieszkaniu na ulicy Stryjskiej, naprzeciwko Parku Stryjskiego. Wszystkie kamienice natychmiast zostały ujęte w tzw. *uprawliajuszczij dom*, czyli biuro zajmujące się kontaktami z NKWD, a przy okazji zarządzaniem tymi budynkami. Zarządzanie polegało przede wszystkim na tym, by znaleźć mieszkania dla czy to oficerów sowieckich, czy urzędników przybywających z Rosji. U nas mieszkali dwaj lejtnanci. W Armii Czerwonej zawsze było dwóch oficerów – dowodzący i oficer polityk. Ten polityk często nie miał decydującego głosu, ale pilnował oficera dowodzącego. I właśnie w małżeńskich łóżkach moich rodziców, które zostały odebrane nam z pokojami frontowymi, spali dwaj oficerowie – lejtnant i lejtnant polityk. Nie wiem, jak długo by mieszkali z nami, ale oni nadużywali, widocznie we wspólnym porozumieniu, alkoholu. Pewnego dnia urządzili, jak to określono – *maleńką pieriestrietkę*. Po prostu nagle zaczęli strzelać! Byli na tyle nietrzeźwi, że strzelali do mebli, luster, sufitu. My schowaliśmy się w kuchni. Byliśmy przerażeni, czy oni nie zechcą również nas potraktować jako cel. Po jakimś czasie zastukano do drzwi kuchni. Otworzyliśmy, w drzwiach pojawił się jeden z lejtnantów, szeroko uśmiechnięty, z prośbą, żeby mu pożyczyć zmiotkę i śmieciarkę, ponieważ, jak oświadczył, urządzili *małą pieriestretkę* i się naśmiecilo. Tak humorystycznie i łagodnie dla nas zakończyła się ta *pieriestrietka*... Ale *uprawliajuszczij domu*, kiedy mu doniesiono o tym, co się działo, przyszedł sprawdzić, czy rzeczywiście doszło do strzelaniny. Po jakimś czasie obaj oficerowie nagle znikli z naszego mieszkania i wprowadzili się cywilni wysocy urzędnicy z Moskwy. Zajmowali się przejmowaniem zakładów Baczewskiego, czyli byli to ministrowie – czy jak ich tam nazywać – od *goritki*. Najpierw przyjechał z Moskwy Cy-

gankow i starał się być bardzo kulturalny i elegancki. Przychodził do nas na kolacje i uprzejmie rozmawiał, a pytania jego były mniej więcej takie, jak w klozecie spuszczać wodę itp. Widać było, że nawet w Moskwie mimo wysokiej rangi, jaką zajmował, nie miał w mieszkaniu takich urządzeń. Różnie zatem bywało... Dla niego największą atrakcją było radio. Mieliśmy radioodbiornik kupiony przed wojną – duży telefunken z magicznym okiem i podświetlaną szybą z zaznaczonymi stacjami radiowymi na całym świecie. Zarówno on, jak i jego koledzy, niżsi rangą urzędnicy, ale ważni, bo z Moskwy, prosili pozwolenie na posiedzenie przy radiu i prosili ojca o nastawienie a to Paryża, Rzymu itp. Dla nich była to ogromna atrakcja. Kiedy ci wyjechali, zamieszkali u nas dyrektorzy *spirotrestu* we Lwowie. Niektórzy z nich byli dla nas niezwykle życzliwi i komenderowali moimi rodzicami. Mówili: *Macie iść na wybory! Spróbujcie nie pójść, ja was poprowadzę pod lokal wyborczy!* Były to wybory, które miały zdecydować o przyłączeniu Lwowa do Ukrainy. Oni znając system sowiecki starali się nas chronić przed popełnieniem błędu, np. niepójścia na wybory, bo wiedzieli, co nas za to może spotkać. Na nasz temat udzielali informacji do *uprawdomu* itd. Ostrzegali nas przed wieloma niebezpieczeństwami. W 1940 r., kiedy przyjechała do Lwowa do jednego z nich w odwiedziny kuzynka, w wieczornej rozmowie przy zgaszonym świetle, powiedziała: *Myśmy zjadali własne dzieci*. Potraktowaliśmy ją jako trochę nienormalną, wtedy nie wiedzieliśmy, że ona opowiada o swoim normalnym życiu w tamtych czasach na Ukrainie. Tamte czasy wspominam jako bardzo nerwowe, ponieważ bez przerwy szły wywózki Polaków na wschód. Zajeżdżała ciężarówka i całą rodzinę wywozili do pociągu, który wioził ich potem tygodniami w nieznaną na Syberię. Nasza rodzina tego uniknęła, jak wielu innych ludzi, dzięki wojnie Hitlera przeciw Rosji. Proszę sobie wyobrazić, z jaką ulgą sąsiadka mówiła o wojnie. Zobaczyłem niemieckie samoloty pikujące na radzieckie jednostki, które były postawione natychmiast w stan najwyższej gotowości bojowej. Widok wycofujących się Sowietów był przerażający. Na ul. Stryjskiej, która była dosyć stroma, utknęły czołgi sowieckie. I ten moment zaskoczenia – wkroczenie niemieckich żołnierzy. Była to dywizja

tyrolska. Mieli czapki z szarotką. Byli witani kwiatami na ulicach! Taki był terror sowiecki! Zarówno Ukraińcy, jak i Polacy witali tych żołnierzy jako tych, którzy nie pozwolą wywieźć ich na Sybir! Widać było, że Niemcy byli zaskoczeni, ponieważ wszędzie wkraczali jako zniechęceni zdobywcy. A tutaj nagle tak ich witają! W porównaniu z sowieckimi żołnierzami, którzy byli obdarci, wyglądali niezwykle elegancko. Czyste mundury i na karabinach zatknięte kwiaty! Euforia szybko minęła. Kilka miesięcy później na Wzgórzach Wuleckich Niemcy rozstrzelali profesorów uczelni lwowskich...

W Krakowie podjął Pan naukę w szkole średniej...

Tak, było to Liceum Ogólnokształcące im. Nowodworskiego. A potem studia na Akademii Sztuk Pięknych. Ale to nie było też takie proste. To, że się znalazłem na studiach, zawdzięczaam lwowskiemu malarzowi Antoniemu Bartkowskiemu. Mam piękny portret na tle mojego Lwowa namalowany przez niego w czasie wojny. Po wojnie Antoni Bartkowski znalazł się też w Krakowie. Kiedy nastał realizm socjalistyczny, on wyróżnił się tym, że malował przodowników nauki. W Krakowie był uważany za pozytywnego socjalistycznego artystę. Kiedy zdałem maturę, mama chciała mnie posłać na architekturę, ale ja zapisałem się na ASP. Oczywiście była ogromna liczba kandydatów i ja odpadłem... Jak się o tym dowiedział Bartkowski, wziął mnie i zaprowadził na ASP na Plac Matejki, wszedł do rektora, którym był prof. Zygmunt Radnicki, który przed wojną był nauczycielem rysunku we Lwowie i uczył mojego brata, i powiedział: *To jest niezwykle zdolny mój uczeń Zalewski. Trzeba go przyjąć!* I Radnicki mnie przyjął! (śmiech) Tak się zaczęła moja kariera na ASP. W Krakowie poznałem swą żonę, Wandę Macedońską, również pochodzącą ze Lwowa, siostrę Adama Macedońskiego. Po uzyskaniu dyplomu na Wydziale Konserwacji wybrała ona inną drogę twórczą. Stała się artystką malarką, której prace były prezentowane na licznych wystawach krajowych i zagranicznych, zyskując duże uznanie. W Krakowie znalazły się też po wojnie siostry mojego ojca. Młodsza z nich – Halina Zalewska przed II wojną światową mieszkała w Warszawie, gdzie



była znanym fotografikiem. Portretowała wszystkich znanych aktorów. Jeśli sięgnie pan po prasę przedwojenną – „Film” czy „Kino” – to niemal wszystkie okładki były jej autorstwa. Ona była dziewczyną Mieczysława Cybulskiego – znanego przedwojennego aktora amanta... Mam piękne fotografie ciotki Haliny i Cybulskiego we wspaniałym kabrioletcie mercedesa... Moja babka i cała rodzina były tym oburzone! W Warszawie mieszkała aż do powstania warszawskiego. Niemcy zabrali ją do obozu w Pruszkowie, skąd wywieziona została do obozu w Ravensbruck. Tam spotkała prof. Karolinę Lanckorońską i dzięki niej została skierowana do pracy w fabryce. To uratowało jej życie. Po powrocie do Krakowa udzielała lekcji języka angielskiego i pracowała jako aktorka w Teatrze Młodego Widza. Zmarła w 1997 r. Starsza – Jadwiga Mroczek, miała dwóch synów i męża oficera rezerwy, który zginął w 1939 r., nie wiadomo gdzie. Mieszkała we Lwowie, a potem do końca życia w Krakowie. Jeden z synów – Jerzy, zginął w czasie bombardowania dworca kolejowego we Lwowie, a drugi – Tadeusz przyjechał z nią do Krakowa i był tu aktorem w Teatrze Młodego Widza. Pracowali razem z ciotką Haliną. Potem wyjechał z Krakowa i pracował w wielu teatrach polskich. Życie zakończył w Koszalinie.

Co się stało z bratem Pana Profesora – Ludwikiem, chemikiem?

Brat wcielony został do wojska jeszcze przed wywiezieniem ojca na Sybir. Ludwik był wtedy studentem Politechniki Lwowskiej. Pewnego dnia na uczelnię przyszedł sowiecki patrol wojskowy, zebrał wszystkich polskich studentów i zamknęła ich. Ale nie w celach prześladowań politycznych, czego się wszyscy obawiali, ale w celu skierowania ich do – na szczęście – wojska polskiego. Mogli skierować ich do Armii Czerwonej. Brat skierowany został do Jarosławia. Kiedy wojna się skończyła, wyglądało to tak, jakby armia się po prostu rozlaża. Cała grupa uciekła na Śląsk. Ludwik zapisał się na Politechnikę Śląską, na chemię. Po studiach budował zakłady chemiczne w Oświęcimiu, gdzie był kierownikiem działu katalizatorów. Zrealizował oczekiwania taty.

Serdecznie dziękuję Panu za rozmowę.

Kornel Makuszyński

Zegary lwowskie

Kiedy wieczorne zmówimy pacierze
Zaśnie spokojnie Lwów stary
Wtedy sędziwe rozmawiają wieże
I rozmawiają zegary.

Już dawni ludzie w cichym leżą grobie,
Wieki odeszły na cmentarz,
A one ciągle wspominają sobie:
„Czy też mój bracie pamiętasz?”

A gdy północna nastanie godzina,
W każdym z nich budzi się dusza
I wtedy wolno opowieść zaczyna
Dostojny zegar Ratusza.

Więc dźwięczy godnie, wspaniale, dostojnie
O szczęściu i o cierpieniu,
O znojach, bojach, o strasliwej wojnie
I o Tatarów zniesieniu.

I w tejsze chwili daleko, dokoła
Budzą się wszystkie, jak ptaki,
Z każdej kaplicy, z każdego kościoła
Zegary podają znaki.

Jeden jest tylko w ślicznym mieście Lwowie
Zegar, co bije przed czasem,
Bo przed wszystkimi zawsze się opowie:
Bernardyn, dźwięczący basem.

Bądź zdrowy, Lwowie!
Chociaż z ostatnimi
Opuszczam mury Twoje prawiekowe
I chociaż biorę garść Twej świętej ziemi
Na życie nowe,
Czuję się zdrajcą, żem w ciężkiej potrzebie
Nie zginął raczej, zamiast rzucić Ciebie.
W godziny wieczorne,
Gdy słucham z sercem ciężącym jak ołów
Czy może dzwony usłyszę wieczorne
Z Twoich kościołów,
Modlitwy moje w Twoją lecą stronę
Grodzie mych ojców, miasto wymarzone.
W daleką stronę rzuciłeś nas, Boże!
Ludzie tu obcy, ich dusze jałowe
Nie rozumieją jak tęsknić może
Serce kresowe.
Nie mogą pojąć, że na śląskiej ziemi
Lwów się nam marzy z kościoły swoimi.
Bądź zdrowe, Miasto!

Paweł Glugla

Lwowianie wygnańcy- tułacze, 1914 r.

Pierwsza wojna światowa, zwana wówczas „wielką wojną”, siała postrach, spustoszenie i grozę. Naturalną koleją rzeczy było uciekanie ludności przed wojenną nawałnicą. Niestety część mieszkańców ówczesnego terytorium Polski, w tym lwowian, była deportowana w różne strony Europy. Na ogół polska ludność była życzliwie i ze zrozumieniem, a nawet współczuciem przyjmowana w poszczególnych miejscowościach – np. na Morawach, w Austrii, Czechach, na Słowacji, itd. Jednak nie wszędzie życzliwie witano i traktowano Polaków – np. niechętnie na Węgrzech. Lwowianie, jak i pozostali Polacy nie znali języka węgierskiego, a Węgrzy złośliwie nie chcieli rozmawiać po niemiecku. Nieopisany chaos, wielka niewiadoma jutra, fatalne warunki podróży, życia wojennego pozostawiły na zawsze wspomnienia u wygnańców, tułaczy. Wiele rodzin rozdzielono, kontakt był utrudniony. Niektórych wojna zastała poza miejscem zamieszkania. Ci byli w jeszcze gorszej sytuacji.

Spisywane na gorąco wrażenia z przeżyć i losów wojennych lwowianie i Polacy z innych stron kraju przesyłali do redakcji. Zebrany materiał wspomnieniowy zredagowano i wydano w formie książkowej w Wiedniu w 1915 r. Poniżej przedstawiam oryginalne zapisy owych wspomnień lwowian, którzy przeżyli wygnanie i tułaczkę wojenną. Na tej podstawie można wyrobić sobie pogląd i osąd tamtejszych czasów i przeżyć ludzi, którzy żyli we Lwowie i musieli go opuścić czasowo bądź na stałe.

Z LISTÓW LWOWIAN

Pan Władysław Chemiński, nauczyciel ludowy ze Lwowa, przedstawia ciekawe szczegóły z ostatnich dni w Medyce. Poza tym z uczuciem opisuje swoją smutną i pełną rozmaitych niespodzianek tułaczkę

Dnia 21 sierpnia 1914 roku wieczorem opuściłem progi mego domu z małym to-

bokiem w ręku. Na ulicach Lwowa panował ruch nieopisany. Szedłem prawie automatycznie, zamyślony ku dworcowi. Na pewnym zakręcie ulicy Gródeckiej potknąłem się o coś. Patrzę, to koń martwy leży, który ze zmęczenia padł na chodnik. Nikt wówczas nie myślał nawet o usunięciu go. Na peronie było prawdziwe piekło. Tłumy ludzi snuły się z miejsca na miejsce, czekając już od dwóch dni na pociąg. Gdy nadszedł wreszcie tak długo oczekiwany pociąg, powstał ścisk i gwałt tak wielki, że trudno sobie to wyobrazić. Pomimo to, że nie wiedziano nic o tym, w jakim kierunku on pójdzie, lokowano się w wagonach, gdzie kto mógł. Gdy już wszyscy jakie takie miejsce zajęli, wydano rozkaz: „Wysiadać!”. Wojskowość zażądała kilku wagonów dla siebie i rodzin oficerów.

Po długich i ciężkich mękach zdołałem się ledwo ulokować na platformie ostatniego wagonu. W tych warunkach jechałem tak kilka godzin, przybywszy do Medyki. Tu spotkałem byłego mego szkolnego kolegę, obecnie asystenta kolejowego, który zaprosił mnie do siebie.

Pobyt w tej pięknej, polskiej wsi był dosyć przyjemny i zapominało się czasami o tem, że to przymusowa tułaczka. Kiedy pod Gródkiem toczyły się walki, przywożono rannych do Medyki.

Byłem raz świadkiem smutnego widoku, którego nigdy nie zapomnę. Razu pewnego przywieziono ciężko rannego jednorocznego ochotnika, a podczas robienia opatrunku przez lekarza tenże skonał mu na rękach w mojej obecności. Pamiętam – zbito mu trumnę z czterech desek i w noc posępną, deszczową, wywieziono go na tutejszy cmentarz wiejski, przy świetle łuczywa niesionego przez kilku żołnierzy.

Już nazajutrz przycichły wieści o zwycięstwie. Trwoga ogarnęła wszystkich, gdy zapłonęły wsie okalające zewnętrzne forty przemyskie. Krwawe łuny rozgorzały na horyzoncie, pożar niszczył dobytek ludzkiej pracy, długich, ciężkich lat. Dnia 15 września [1914 r.] naczelnik tutejszej stacji otrzymał rozkaz ewakuacji. W kilka dni potem wyjechaliśmy ostatnim pociągiem w kierunku Jasła. Przyjechawszy do Jasła, odbywał się właśnie asenterunek do wojska, któremu i ja podlegałem, lecz ze względu na nadwątłony stan zdrowia, komisya asenterunkowa uznała mnie za niezdolnego do linii.

Pobyt mój tutaj nie był zbyt długi. Zmuszony byłem opuścić to miasto w ciężkich bardzo warunkach. Pojechałem więc do Cieszyna, otrzymawszy nocleg w „Domu Narodowym”. W zimnej, teatralnej sali, prześpiawszy tych kilka nocy opuściłem Cieszyn, udając się do Bogumina [Bohumin]. Tu przez kilka dni udzielałem lekcji w szkole „Macierzy”, lecz z powodu zamknięcia jej, zamieniając na lazaret wojskowy, zostałem znów na bruku. Nie mając tu co robić wyjechałem do Białej, spotykając tysiące wychodźców, znajdujących się w skrajnej nędzy. Wkrótce jednak los mnie zagnał do Toszanowic, cichej, śląskiej wioski. Przepędziłem tu trzy miesiące, ale zapragnąłem być w centrum obecnego życia umysłowego Polski. Tułaczkę moją zakończyłem wyjazdem do Wiednia, przebywam tu już do końca, przechodząc zwyczajne dzieje, tak zwanego „Fluchtlinga”.

Pani Zofia z Zakrzewskich Mykietynowa, wdowa po nauczycielu ze Lwowa, która tułaczkę miała smutną i dużo ciężkich przejść, tak opisuje swoje wrażenia:

Dnia 1 września 1914 r. opuściłam wraz z dziećmi Lwów ukochany, mimo że zdecydowawszy się zostać zakupiłam zapas prowiantów, zaopatrzona więc byłam na kilka miesięcy. Jednakowoż zostać nie mogłam, bo do ucieczki gnał mnie płacz córek i ich błagalne prośby: „Mamusiu droga, uciekajmy!”. Popłoch był tak wielki, że nie było chwili czasu do namysłu. Odeszłam z dziećmi — jak stałam, nie zamykając nawet żadnych drzwi. Na dworzec nie można było się dostać. Udałam się więc z dziećmi pieszo w kierunku Gródka Jagiellońskiego. (...) Niewymownie ciężka była to dla nas droga, pełna najrozmaitszych przeszkód, ze względu na przejeżdżające ciągle treny wojskowe. (...) Znowu zaczęła się ta uciążliwa podróż, po której dojechaliśmy do Rzeszowa, a stąd po kilku dniach wyjechaliśmy do sąsiedniej wsi Mrowli, gdzie zaopiekował się nami zacny ks. kanonik Henryk Siarkowski. Mieszkałyśmy w szkole, pobyt nasz tutaj był bardzo miły, znalazłszy współczucie tutejszych mieszkańców, którzy nam pomagali, w czym tylko mogli. Ale smać przeznaczone mi były losy tułaczki, bo po czterem dniach musiałam znowu uciekać furą do Rzeszowa, bo zajęcie przez wroga Mrowli groziło lada chwila, wobec coraz głośniejszych huków i tun ogniowych. Mieszkańcy ze łzami nas żegnali. W Rzeszowie już

było prawdziwe piekło. Armia Auffenberga cofała się wówczas spod Lublina. (...) Po ciężkich trudach dobiłyśmy się jednak do stojącego pociągu, mającego odejść w kierunku Nowego Sącza. O dziewiątej wieczór dojechaliśmy do Jasła. Tu deszcz, zimno i ścisk, ani się docisnąć na peron. Zostałam więc z dziećmi przed dworcem. (...). W tej chwili zajechał cichutko pociąg i kto się szybko zorientował, ten wszedł i pojechał, reszta została. Do późnej nocy jechaliśmy tak do Sącza, lecz stąd już dalej nie odjeżdżały żadne pociągi. W drodze dostała obłędu jakaś młoda kobieta. (...) W Sączu mieszkaliśmy tylko dwa tygodnie w zimnym, próżnym mieszkaniu, spijając tylko na słomie. Ze względu jednak na niekorzystne stosunki i niezrozumienie naszej biednej, tułaczki doli musieliśmy to miasto opuścić. Wyjechaliśmy więc do Białej a stąd do Berna Morawskiego, gdzie ciężkie dni tułaczki pędzę tu w smutku z prośbą do Boga, by pozwolił mi wytrwać i wrócić szczęśliwie do ukochanej Ojczyzny.

Artyści opery lwowskiej żalą się w smutnej kartce, że zagubili wśród tułaczki, podczas ogólnego popłochu swą rodzinę, o której żadnych dotąd nie mają wiadomości. W kartce tej przebija dziwny smutek, wewnętrzny ból, ciche łkanie duszy artystycznej na tę bezgraniczną pustkę. Znacomicy artyści tułaczek też spędzają w Grazu.

Pan Józef Torwiński, kandydat adwokacki ze Lwowa, który swą tułaczkę spędził w Bruck nad M. w Styrii, zapisał:

Opuszczaliśmy z żoną ukochane miasto moje rodzinne w chwili, kiedy o kilkanaście km na zachód toczyły się krwawe walki z przeważającymi siłami armii rosyjskiej. Czekając przez pięć godzin na odejście pociągu, który miał nas odwieźć do Tarnowa, widzieliśmy olbrzymie transporty rannych, nadchodzące wprost z pola bitwy. Straszny to był widok, a pod ich wpływem potęgowało się coraz to większe zdenerwowanie u nas.

Wreszcie wieczorem z wielkim żalem wyjechaliśmy z dworca. Skierowaliśmy podróż do Poronina, zamieszkawszy tam zaledwie kilka tygodni. Gdy we wrześniu zaczęły się nowe ugrupowania wojsk i teren operacyjny przesunął się częściowo do Zachodniej Galicji, wskutek tego, powstało, wśród bawiących tam Polaków zaniepokojenie przed ewentualną inwazyją rosyjską. Poszliśmy za ogólnym odruchami, jadąc na tułaczkę do Bruck.

Pani Maria Praszčilówna, nauczycielka muzyki ze Lwowa, napisała o serdecznym przyjęciu wygnańców przez mieszkańców Moraw. Należy dodać, że o Morawiakach piszą wszyscy wychodźcy z wielkim uznaniem.

Pan Fabian, kupiec ze Lwowa, miał większą sumę pieniężną, schowaną w kasie ogniortwałej, w sklepie. Nie zdążył już tam pójść po nią, gdyż wówczas wydano zakaz otwierania domów i sklepów. Udał się więc p. Fabian na łaskę i niełaskę losu na tułaczkę, nic z sobą nie zabierając, prócz trochę bielizny i odzieży.

Pani Ludwika Parnas Koderowa, mgr farm. i słuchaczka Uniwersytetu Lwowskiego napisała:

Wygnała mnie ze Lwowa wieść, że Moskale już są na szanicach miasta, gdyż inaczej żadna siła nie byłaby mnie zmusiła do opuszczenia tego kochanego miasta. Dnia 31 sierpnia znalazłam się na głównym dworcu, a widok, który oczom moim przedstawił, na zawsze pozostanie w pamięci. Istne przedpiekle... Tysięczne tłumy zalewały hałę dworca... Lęk, przerażenie, groza i dzikość jakaś – to był obraz tych ludzi walczących na śmierć i życie o kawałek miejsca w wagonach. Rozpaczliwy krzyk matek łączył się z nieustannym, rozdzierającym płaczem dzieci. Potem z daleka ukazały się siwe mundury, ale wszyscy prawie o laskach, bez nóg, bez rąk, jeden drugiego jak mógł, tak podtrzymywał. Ci tragiczni ludzie dopełnili obrazu nędzy. Jazda trwała w nieskończoność – wśród okropnych warunków. Tułałam się przez pewien czas po Galicji, ale kiedy wróg napierał coraz więcej, wyjechałam do Wiednia, oczekując tu „wybawienia”.

Pan Norbert Just, przewodniczący Stowarzyszenia Cukierników ze Lwowa i redaktor „Gazety Cukierniczej”, zapisał:

W Zakopanem zaskoczyły mnie wypadki wojenne. W dwa tygodnie po mobilizacji, gdy polskie serca zaczęły głośniejszemu uderzać, gdy prawie wszyscy mężczyźni garnęli się tłumnie do Legionów, wstąpiłem i ja w szeregi wojska polskiego. Pewnego dnia, gdyśmy uszykowani słuchali „rozkazu” wieczornego, przeszły przez szeregi nasze najstraszniejsze i najboleśniejsze słowa, jakie w życiu swem słyszałem: „Lwów wzięty!”

„Moskale są już we Lwowie!”. Nie jestem w stanie tego opisać, co się ze mną wtedy działo. We Lwowie zostawiłem moją matkę

drogą, siostry i mój cały dobytek. Wrócić tam nie mogłem – zmartwienia i troski targaly niemiłosiernie moje nerwy. Wkrótce też uwolniono mnie z Legionów, wyjeżdżając do Krakowa. (...) Cieszę się niewymownie, że nie jestem zmuszony do korzystania z tzw. „zapomóg”, a mam jedno tylko – być jak najprędzej we Lwowie.

Pan Jan Wrona, urzędnik prywatny ze Lwowa, pisze:

Wyjechaliśmy ze Lwowa do Jasła w nadziei, że tu przeczekamy krótki najazd wrogów. Tymczasem 27 października wkroczył nieprzyjaciel do miasta. Chwila ta była straszna, kule przelatywały przez miasto i w trakcie tego padło dużo ofiar wśród cywilnej ludności. Wróg jednak nie miał czasu się zagospodarować po swojemu, gdyż po czterech dniach nadciągnęły nasze wojska, wyswobodziwszy uszczęśliwionych mieszkańców od dziczy moskiewskiej. Krótka jednak była nasza radość, bo w czternaście dni potem powstała w mieście szalona panika z powodu zbliżenia się tego okrutnego nieprzyjaciela. Nie pozostało nam nic innego, jak Jasło opuścić. Puściliśmy się w drogę pieszo, idąc wprost przez linie naszych wojsk do Binauburgu.

Pan Wiktor Brzeziński, nauczyciel szkoły wydziałowej męskiej we Lwowie, napisał:

Wyjazd ze Lwowa nastąpił w ostatniej chwili, gdyż byłem zajęty całymi dniami w „Komitecie ratunkowym dla nauczycielstwa polskiego w Galicji wschodniej”. Wobec braku jakichkolwiek środków przewozowych, musieliśmy wśród ścisłości ludności uchodzącej, przemarszu wojsk oraz przejazdu wozów wojskowych, iść na dworzec. Wyjechaliśmy do Chyrowa, stąd zaś do Jasła, następnie do Cieszyna, a w końcu do Toszonowic, gdzie byłem kierownikiem prywatnej szkoły „Macierzy Szkolnej”. Ostatnim etapem mojej tułaczki był Wiedeń i tu czekam kresu tejże.

Powyżej prezentowane teksty są niewielkim fragmentem opisów lwowian wygnańców-tułaczy z lat wielkiej wojny (1914–1918), jednak oddają chwilę grozy i stan, w jakim przyszło żyć Lwowianom.

PAWEŁ GLUGLA – absolwent Akademii Medycznej w Krakowie (1991); doktorant historii Uniwersytetu Rzeszowskiego. Zainteresowania: historia kresów, historia Kościoła, zwłaszcza zgromadzeń wincentyńskich; prezes Stowarzyszenia Pomocy Nieuleczalnie Chorym i Kalekim im. Jana Pawła II.

Maria Mokrzcowa

Współżycie z Żydami we Lwowie w czasie II wojny

Urodziłam się we Lwowie i mieszkałam tam do 1944 roku. Rodzina moja była patriotyczna i religijna. Miałam szczęście, że chodziłam do szkoły im. Adama Asnyka przy ul. Sakramentek i była ona tzw. *ćwiczeniówką* Uniwersytetu Jana Kazimierza. Niestety już nazwisk nie pamiętam. Pamiętam za to naszego katechetę księdza Stanisława Bizunia, który był sekretarzem abp. Bazianka i uczył nas religii. W czasie okupacji sowieckiej ks. Bizuń uczył w domu moich rodziców i przygotowywał młodzież do sakramentu bierzmowania. Niestety łączyło się to z odpłacaniem dozorczy Ukraińca. Po wojnie, gdy mieszkałam już w Krakowie, mieście moich dziadków ze strony ojca, udzielił mnie i mojemu mężowi ślubu. Kończyliśmy wtedy studia.

W pierwszej klasie szkoły podstawowej poznałam moją najlepszą koleżankę Bożenkę Kremerównę. Była to przechrzczona Żydówka, nadzwyczaj dobry i szlachetny człowiek. Ponieważ byłam szalenie nieśmiała, rodzice poprosili Bożenkę, aby się mną zaopiekowała, więc czyniła to z wrodzoną sobie energią. Nasza wielka przyjaźń trwała prawie zawsze. Nasi rodzice też się przyjaźnili.

Miałyśmy ukochane pieski foksterierki i biegałyśmy z nimi po Kaiserwaldzie. Miałyśmy piękne lalki z ulicy Halickiej i hulajnogi. Ks. Bizuń zaszczerpił w nas zwyczaj robienia ukwieconych majowych ołtarzyków z Matką Boską. Wybuch wojny zabrał nam to piękne dzieciństwo.

We wrześniu 1939 roku naszych ojców nie było, bo byli w wojsku, a Bożenka z matką często przebywała u nas. Pamiętam, jak płonąła fabryka wódek Baczewskiego na Zamarstynowie. Byłyśmy z Bożenką i matkami na Kaiserwaldzie i obserwowałyśmy ten pożar. Była noc, a jasno jak w dzień.

Ok. 22 września 1939 r. wkroczyli do Lwowa sowieci. Szli ulicami tyralierą, a karabiny nieśli wycelowane do okien po przeciwnej stronie ulicy. Gdy ktoś się zbliżył do okna

lub nawet drgnęła firanka, strzelali. U nas w kamienicy mieszkał sędzia, którego żonę tak zabili. On wtedy z rozpacz zwiariował.

Powróciliśmy do szkoły. Gdy w nocy słyszeliśmy warkot silników, wiedzieliśmy, że to wywózka do Rosji. Wielu koleżankom zabrali bliskich. Żyło się w ciągłym strachu. Pamiętam, że mama raz zapytała oficera sowieckiego, który mieszkał u nas w kamienicy – *Skąd wy tak wiecie, kogo wywozić do Rosji?* Odpowiedział: *Jewreje dają nam dokładne listy.*

W tym czasie do Lwowa przyjechało mnóstwo Sowietów wraz z rodzinami. Zajmowali najpiękniejsze mieszkania. Gdy Niemcy rozpoczęli wojnę z Rosją, wszystkim Sowietom udało się ewakuować, bo na dworcach stało bardzo dużo wagonów przygotowanych na wywózkę Polaków do Rosji. Po ucieczce Sowietów wszyscy ludzie ruszyli do kościołów dziękować za uwolnienie z niewoli sowieckiej. Sowietci opuszczając Lwów wymordowali wszystkich więźniów w przepelnionych więzieniach.

Po wkroczeniu Niemców wiele się nie zmieniło. Jednak okrucieństwo nadal trwało. Powstała ukraińska milicja, która doskonale pomagała Niemcom. Żydzi musieli nosić opaski z gwiazdą i iść do getta. Ojciec poprosił mamę Bożenki, aby nie nosiły opasek i sprowadziły się do nas, a dozorczy płacił za milczenie.

Polska stała się jedynym krajem w okupowanej przez Niemców Europie, w którym za pomoc Żydom Niemcy wykonywali wyroki śmierci. Dotyczyło to nie tylko przechowywania Żydów, ale też wszelkiej pomocy. Było to rozporządzenie generalnego gubernatora Hansa Franka.

Ukrywanie Żydów było trudne. Tylko 15% Żydów umiało mówić po polsku, a poza tym wszyscy byli obrzezani. Nawet dzieci umieszczane w gettach były tam obrzezane.

Bożenka i jej matka zamieszkały u nas, ale nie mogły wychodzić z domu. Żyliśmy bardzo skromnie, bo we Lwowie było ciężko

o żywność. Dookoła były wsie ukraińskie. Ukraińcy nie chcieli sprzedawać Polakom żywności. Zimy były ostre, miasto nie miało dostępu do węgla. Ludzie palili rozebrany-
mi parkanami i czym się tylko dało. Bardzo się marzło.

Na początku 1944 roku Niemcy wywieźli z warsztatu mego ojca maszyny, 10 młodych pracowników i ojca do Krakowa, a później dalej do Niemiec. Zapomniałam dodać, że zaraz po wkroczeniu do Lwowa przejęli zakład i dali tam do nadzoru 2 inżynierów niemieckich. Ja z matką pojechałyśmy do Krakowa, gdzie moja babka przed wielu laty wynajęła mieszkanie w gmachu PKO. Bożenka ze swoją matką wyjechały do Warszawy. Niestety gdy wybuchło powstanie, matka Bożenki była poza domem i spotkały się dopiero po wojnie. Znajomi sąsiedzi wzięli Bożenkę do powstania. Była ciężko ranna. Kanałami wydostano ją z Warszawy, ale niestety Niemcy wzięli ją do obozu koncentracyjnego. W obozie poznała Czecha, który uciekł z nią do Czech i ożenił się z nią. Mieli córkę, ale nie była szczęśliwa. Ta rana z powstania prześladowała ją do śmierci. Miała operację w Pradze. Matka Bożeny prosiła mnie, abym znalazła pisarza Parandowskiego, bo był on krewnym ojca Bożeny. Matce Bożeny chodziło o to, aby on pomógł Bożence się wykształcić, ale ona tego nie chciała. Matka Bożeny pojechała do Czech i wkrótce zmarła. Ja utrzymywałam z Bożenką listowny kontakt. Później pisanie po polsku sprawiało jej trudność, więc telefonowałam. Parę razy pojechaliśmy do niej z mężem samochodem. W 2014 roku w marcu rozmawiałam z nią ostatni raz telefonicznie, a później już nie mogłam się z nią porozumieć. Przypuszczam, że umarła. Było mi bardzo smutno, że się skończyła nasza piękna przyjaźń.

Ojciec mój miał we Lwowie serdecznego kolegę Żyda. Nazywał się Meller, był właścicielem kilku kin. Powiedział on ojcu, że gestapo będzie potrzebowało jakiegoś gmachu na kasyno, a on posiada taki budynek wraz z kinem. Kino nazywało się Marysieńka. Ojciec nie chciał w tym pośredniczyć, ale zapoznał ich ze sobą. Transakcja została zawarta. Meller wiedział, że chce się tam ukryć wraz z rodziną. Uplłynął jakiś czas

i wybuchła afera jak bomba. Na ostatnim piętrze tego kasyna była sala bilardowa. Znajdowało się tam też radio. Jakiś Niemiec spragniony wieści ze świata słuchał radia. Jakież było przerażenie Niemca, gdy nagle sufit się załamał i spadło na stół pełno Żydów, bo oni też chcieli słuchać wiadomości. Dla mego ojca był to straszny cios. Był przerażony, ale kierownik tego kasyna popełnił samobójstwo. Co się tam dalej stało, nie wiem.

Każdy medal ma dwie strony. Nie zawsze pomagano Żydom. Raz gdy szłam ulicą Kurkową do domu, zobaczyłam coś strasznego, co niestety na zawsze pozostało w mojej pamięci. Ulica Kurkowa była równoległa do ulicy Łyczakowskiej. Tylko była w górze, bo Lwów miał góryste położenie. Przy ulicy Kurkowej był gmach „Sokoła”, który był siedzibą „Bractwa Kurkowego”. Była tam duża brama z korytarzem, który wychodził na dziedziniec otoczony skałami. Do tej bramy podjeżdżały ciężarówki, w których były Żydówki z małymi dziećmi na rękach. Zrozpaczone płakały i krzyczały. Ukraińska policja pędziła ich tym korytarzem i biła pałkami. Zapędzano ich na dziedziniec, a potem słychać było strzały. Stałam z grupą ludzi, byliśmy przerażeni. Podeszło do nas kilku ukraińskich milicjantów i rozpędzili nas kolbami karabinów. Żle się poczułam i jacyś ludzie odprowadzili mnie do domu.

Do końca mego pobytu w Lwowie już nie przeszłam tą drogą.

Ze Lwowa wyjechaliśmy do Krakowa w maju 1944 roku.

Wiem, że mimo groźby kary śmierci w całej Polsce pomagano Żydom. Moi rodzice byli absolutnie bezinteresowni. Ojciec mój po powrocie z Niemiec został zamordowany przez sowietów. Materialnie było nam bardzo ciężko. Mama wyprzedawała rzeczy z domu. Brat mój chodził do szkoły, a ja po maturze poszłam na farmację. Dziesięć lat pracowałam w Laboratorium Galenowym. Kierownikiem moim był mgr Kozłowski, który przyjaźnił się z mgr. farmacji Tadeuszem Pankiewiczem. U pp. Kozłowskich bywali różni starzy aptekarze. Wszyscy lubiliśmy słuchać różnych ciekawych opowieści mgr. Pankiewicza i farmaceutek z jego apteki „Pod Orłem”, która się znajdowała w getcie. [...]

W Krakowie i dalej

Witold Listowski

Patriotyczny Związek Organizacji Kresowych i Kombatanckich

Poniżej przytaczamy obszernie fragmenty artykułu (w skrócie) Witolda Listowskiego, prezesa nowo powstałego związku.

*Nie ma zbrodniczych narodów,
są zbrodnicze ideologie i organizacje.*

Wiktor Poliszczuk

20 września 2014 roku w Warszawie, w siedzibie Związku Kombatantów RP i BWP, powołano nową organizację „Patriotyczny Związek Organizacji Kresowych i Kombatanckich”, którego założycielami stały się liczne organizacje kresowe i kombatanckie, a także inne stowarzyszenia i fundacje sympatyzujące ze środowiskiem Kresowian.

Inspiracją tej inicjatywy stały się fakty coraz wyraźniejszej aktywizacji środowisk mniejszości ukraińskiej, o wyraźnym nasyceńiu ideologią banderowską, oraz brak wrażliwości władz III RP na zgłaszane od lat postulaty środowiska Kresowian. Z niepokojem obserwujemy rozwój sytuacji i kierunki przemian politycznych zachodzące na Ukrainie.

Wniesiony do Sejmu RP w czerwcu 2013 r. z inicjatywy Kresowego Ruchu Patriotycznego projekt uchwały w sprawie ludobójstwa dokonanego na ludności polskiej Kresów Wschodnich w latach 1939–1947 został odrzucony. W 70. rocznicę apogeum ludobójstwa dokonanego przez nacjonalistów ukraińskich na Kresach Wschodnich RP, wbrew prawdzie historycznej i stanowisku historyków IPN, którzy jednoznacznie określili tę zbrodnię jako ludobójstwo,

polscy politycy w przyjętej uchwale nazwali zbrodnię wymordowania ok. 200 tys. Polaków na Kresach Wschodnich RP językowym potworkiem, nic nie znaczącym w prawie międzynarodowym określeniem *czystka etniczna o znamionach ludobójstwa*.

Na zebraniu Założycieli „Patriotycznego Związku Organizacji Kresowych i Kombatanckich” uczestnicy wyrazili wolę wspólnego działania na rzecz zmiany polityki wschodniej państwa, a także relacji władz wobec środowiska Kresowian w kraju i za wschodnią granicą oraz objawienia prawdy historycznej o zbrodniach dokonanych na Kresach Wschodnich RP na ludności polskiej w latach 1939–1947.

W uznaniu zasług i długoletniej aktywności na rzecz środowiska Kresowian pana pułkownika Jana Niewińskiego, ostatniego żyjącego* dowódcy oddziałów samoobrony na Kresach Wschodnich RP, weterana wojny światowej, jako wybrany prezes Zarządu Związku postawiłem wniosek o uhonorowanie Pana Pułkownika tytułem „Honorowy Prezes Patriotycznego Związku Organizacji Kresowych i Kombatanckich”. Zebrani, na stojąco, przez aklamację zaaprobowali wniosek.

Przyjęto statut i wybrano władze Związku. Trwa proces rejestracji w Krajowym Rejestrze Sądowym w Warszawie.

Decyzja o utworzeniu nowej, silnej organizacji skupiającej środowiska Kresowian, kombatantów i szeroko rozumiane organizacje patriotyczne ma na celu przede wszystkim zwiększenie potencjału oddziaływania. Liczne i słabe organizacje, działające spontanicznie na dotychczasowym poziomie nie mają większych szans w zderzeniu z silnymi organizacjami mniejszościowymi wspieranymi przez swoje delegatury zagraniczne. Oczywiście sama zmiana organizacyjna środowiska nie zmieni radykalnie naszej sytuacji. Potrzebne jest większe zaangażowanie i determinacja w działaniu. Do pracy trzeba zachęcić młodsze pokolenia, połączyć ogniwa w tym łańcuchu pokoleń. Dla każdego ogniwa trzeba określić przestrzeń satysfakcjonującej aktywności. Spraw jest dużo, ale zapалу do pracy nie brakuje. Oddźwięk na naszą inicjatywę w terenie jest już widoczny, nie ukrywam, że na to liczyliśmy.

Nasze działanie to zdecydowana inicjatywa przeciwko odradzającemu się na-

jonalizmowi banderowskiemu w Polsce, „sukcesem” polskiej polityki zagranicznej na wschodzie i bojkotowaniu przez władze III RP postulatów środowiska Kresowian.

Nasze główne cele sprecyzowane na Zebraniu Założycielskim to doprowadzenie do:

- uznania zbrodni nacjonalistów ukraińskich z OUN-UPA dokonanej na ludności Kresów Wschodnich II RP w latach 1939–1947 za ludobójstwo,
- uznania 11 lipca – apogeum mordów na Wołyniu, za symboliczną datę Dnia Pamięci Ofiar Ludobójstwa Polaków na Kresach Wschodnich II RP dokonanego przez OUN-UPA w latach 1939–1947,
- wydania pozwolenia na postawienie w Warszawie Pomnika Pamięci Ofiar Ludobójstwa Polaków na Kresach Wschodnich II RP, dokonanego przez OUN-UPA w latach 1939–1947,
- uzyskania pozwolenia na utworzenie na cmentarzu Powązkowskim w Warszawie symbolicznego grobu zamordowanych Polaków, Ofiar Ludobójstwa dokonanego przez OUN-UPA na Kresach Wschodnich II RP w latach 1939–1947,

- utworzenia Instytutu Historycznego i Muzeum Kresów Wschodnich oraz Centralnej Biblioteki Kresów Wschodnich,
- wpisania jako stałej pozycji w kalendarzu przedsięwzięć Związku – organizację manifestacji środowiska Kresowian w Warszawie – Marszu Pamięci Ofiar Ludobójstwa Polaków na Kresach Wschodnich dokonanego przez OUN-UPA w latach 1939–1947,
- uruchomienie programu pomocy dla Polaków, którzy pozostali za wschodnią granicą III RP,
- uruchomienie programu repatriacji wszystkich, wyrażających taką wolę, polskich rodzin do Polski, bez żadnych warunków wstępnych,
- wypłaty odszkodowań dla Polaków za utracone mienie i rekompensatę za doznane krzywdy,
- wdrożenia systemowych rozwiązań wspierania młodzieży w ich edukacji o Kresach Wschodnich, a także pielęgnowania kultury i tradycji Kresów.

Autor jest prezesem PZOKiK

Od Wołynia po Karpaty

Naukowcy w obronie kościół na Ukrainie

Zaniepokojenie sytuacją świątyń rzymskokatolickich archidiecezji lwowskiej wyrazili w swojej rezolucji uczestnicy międzynarodowej konferencji naukowej ***Ecclesia Leopoliensis. Kościoły Lwowa i archidiecezji lwowskiej: historia, tradycja i dzień dzisiejszy***, która w dniach 6–8 września br. odbyła się we Lwowie.

Lwów, 6–8 września 2014 r.

My, zgromadzeni we Lwowie na międzynarodowej konferencji naukowej, repre-

zentanci różnych środowisk akademickich i ośrodków badawczych oraz organizacji społecznych z Ukrainy i Polski, wyrażamy zaniepokojenie sytuacją świątyń rzymskokatolickich archidiecezji lwowskiej. W trakcie obrad i objazdu naukowego po terenach archidiecezji lwowskiej obrządku łańciewskiego zaobserwowaliśmy poważne problemy dotyczące sytuacji kościołów zarówno pod względem konserwacji i zachowania charakterystycznych cech architektonicznych, jak i w kwestiach własności. Z ubolewaniem stwierdziliśmy także liczne przykłady dewastacji świątyń i obiektów sakralnych Kościoła rzymskokatolickiego. Świadczy to niestety o znikomej wrażliwości społecznej na stan tych świątyń, które są nie tylko miejscem kultu katolickiego i częścią tradycji duchowej, mimo różnicy obrządku, większości mieszkańców tych ziem, ale także niejednokrotnie jedynymi zabytkami historycznymi tego regionu. Przetrwwały one nader burzliwe dzieje i teraz w warunkach demokratycznego państwa ukraińskiego kończą lub zmieniają swoją historię z racji na obojętność społeczną, a nawet na złą ludzką wolę.

Smutkiem napawa fakt, że lokalne organy władzy państwowej przetrzymują rzymskokatolickie obiekty sakralne i podejmują działania, by utrudnić ich zwrot prawowitym właścicielom – rzymskim katolikom. Deklarując wierność wartościom demokratycznym i podkreślając dążenie do integracji europejskiej, lwowskie władze pozostają głuche na żądanie swych rzymskokatolickich mieszkańców zwrotu kościoła św. Marii Magdaleny, plebanii kościoła św. Antoniego oraz innych sakralnych budowli zrabowanych przez komunistów i dotąd niezwróconych prawowitym właścicielom – katolikom obrządku łacińskiego. Pragniemy przypomnieć, że wybór europejski to nie tylko deklaracja, lecz także sposób życia i postępowania zgodny ze standardami wypracowanymi przez europejską wspólnotę. Prawo własności jest jednym z fundamentalnych praw naszej cywilizacji, a krzywdy wyrządzone przez ateistycznego najeźdźcę trzeba jak najprędzej naprawić. Z pewnością przy odrobinie dobrej woli po prawie ćwierć wieku wolności na Ukrainie można byłoby uczciwie, wedle europejskich standardów rozstrzygnąć sprawę własności. *Res clamat ad dominum!*

Szczegółne zaniepokojenie wzbudza fakt, iż udział w pogwałceniu praw współbraci chrześcijan, katolików, biorą przedstawiciele Ukraińskiego Kościoła Greckokatolickiego. Większość lwowskich świątyń rzymskokatolickich została przejęta przez wiernych tego Kościoła bez zgody bądź nawet wbrew woli prawowitych właścicieli – rzymskich katolików. Niszczący kościół w Komarnie, parafia „greckokatolicka” powołana przy kościele seminaryjnym Matki Boskiej Gromnicznej przylegającym do rzymskokatolickiej Lwowskiej Kurii Metropolitalnej – to przykłady braku chrześcijańskiej miłości, a także dyskryminacji wiernych obrządku łacińskiego w archidiecezji lwowskiej.

Taki stan jest nie tylko rażącą krzywdą wyrządzaną współbraciom w wierze, ale także demoralizacją wszystkich mieszkańców tych ziem, którzy pragną żyć zgodnie z moralnością chrześcijańską rugowaną przez dziesięciolecia ateistycznej dyktatury. Jest to sprzeniewierzenie się naszej niedawnej historii, kiedy w okresie totalitaryzmu sowieckiego wierni i kapłani działającego w podziemiu Kościoła greckokatolickiego mogli – dzięki wsparciu zdziesiątkowanych struktur

Kościół rzymskokatolickiego – otrzymywać wsparcie, dostęp do sakramentów świętych czy pomoc materialną. Jest to także sprzeniewierzenie się heroicznej postudze Sługi Bożego ojca biskupa Rafała Kiernickiego ofiarne służącego katolikom obrządku wschodniego w czasach jego posługi duszpasterskiej we Lwowie. Jest to droga do demoralizacji wiernych chcących żyć w demokratycznym, europejskim państwie, a zarazem przyzwyczajanych do bezprawnego zajmowania cudzych świątyń. Wielką szkodę moralną wyrządza nauczanie hierarchów greckokatolickich, zachęcające wiernych do zajmowania świątyń łacińskich w ramach zadośćuczynienia za „krzywdy i niesprawiedliwość” wyzysku kolonialnego. Brak szacunku dla cudzej własności prowadzi do przeciwstawienia się jednoznaczny nakazom Boskim zawartym w 7 i 10 Przykazaniach Dekalogu.

Łączymy się z lwowskim metropolitą obrządku łacińskiego, arcybiskupem Mieczysławem Mokrzyckim, w jego wysiłkach na rzecz odzyskania świątyń bezprawnie zagarniętych i dotąd nie zwróconych ich prawowitym właścicielom. Popieramy jego postawę zawartą w wystąpieniu na posiedzeniu Świętego Synodu Biskupów UKGK 8 września 2014 r. Ufamy, że przy wsparciu naszych wspólnot i ośrodków naukowych, które reprezentujemy, oraz wszystkich ludzi dobrej woli te wysiłki doprowadzą do przywrócenia sprawiedliwości i prawdziwej miłości w relacjach między katolikami tradycji wschodniej i zachodniej.

Wierni Kościoła rzymskokatolickiego, obywatele Ukrainy, zarówno narodowości polskiej, jak też ukraińskiej, oraz przedstawiciele innych denominacji narodowych, mają pełne i nienaruszalne prawo do swych historycznych świątyń, powołanych do istnienia staraniem i kosztem ich przodków i nie mogą być ograniczani w żadnym z oczywistych uprawnień religijnych, kulturalnych i oświatowych, w naturalny sposób wynikających z właściwości cywilizacji łacińskiej i tradycji europejskiej.

Uważamy, że w chwili, kiedy Ukraina walczy o swą europejską przyszłość, kiedy Kościół rzymskokatolicki na Ukrainie bezkompromisowo i zdecydowanie poparł i popiera te dążenia, jest najwyższy i najwłaściwszy czas, by pochylić się nad losem lwowskich

kościółów łacińskich i naprawić krzywdy. Uregulowanie tych kwestii jest ważnym etapem powrotu społeczeństwa ukraińskiego do wspólnoty europejskiej.

Konstanty Czawaga (Lwów), korespondent Gazy Polaków na Ukrainie „Kurier Galicyjski”, wicedyrektor Ośrodka Badań nad Historią i Tradycją Metropolii Lwowskiej Obrządku Łacińskiego, kawaler papieskiego Orderu św. Grzegorza Wielkiego

Ihor Czopko (Lwów), prawnik archidiecezji lwowskiej, kawaler papieskiego Orderu św. Sylwestra

ks. prof. Jerzy Gocko SDB (Lublin–Przemysł), teolog moralista, etyk społeczny, Katedra Teologii Moralnej Społecznej, Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II

o. dr Stanisław Kawa OFM Conv. (Lwów), duszpasterz pracujący na Wschodzie, prawnik

Marek Koryciński (Lublin), wiceprzewodniczący Katolickiego Stowarzyszenia Civitas Christiana

plk. Tadeusz Krząstek (Warszawa), historyk, dokumentalista, nawigator stanowisk dowodzenia, Studium Europy Wschodniej Uniwersytetu Warszawskiego, badacz i popularyzator m.in. tradycji polsko-ukraińskiego sojuszu i walki z Rosją bolszewicką

dr Adam Kulczycki (Rzeszów), socjolog, teolog, Uniwersytet Rzeszowski

ks. mgr lic. Włodzimierz Kuśnierz (Lwów), wieoletni duszpasterz przy kościele św. Marii Magdaleny we Lwowie

ks. prof. Józef Marecki (Kraków), historyk, archiwista, Uniwersytet Papieski Jana Pawła II, Instytut Pamięci Narodowej

o. dr Wojciech Mleczo CR (Kraków), badacz dziejów i duchowości Zgromadzenia Zmartwychwstańców, Uniwersytet Papieski Jana Pawła II w Krakowie, Międzynarodowa Komisja Studiów Zmartwychwstańczych

dr Olga Osadczy (Lublin–Lwów), historyk, Instytut Teologiczny im. św. Józefa Bilczewskiego w Brzuchowicach

prof. Włodzimierz Osadczy (Lublin–Lwów), historyk, dyrektor Ośrodka Badań Wschodnioeuropejskich „Centrum Ucrainicum”, Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II, dyrektor Ośrodka Badań nad Historią i Tradycją Metropolii Lwowskiej Obrządku Łacińskiego

dr Leon Popiek (Lublin), historyk, Instytut Pamięci Narodowej Oddział Lubelski, laureat Nagrody „Książka Historyczna Roku” w kategorii „Najlepsza Książka Popularnonaukowa Poświęcona Historii Polski w XX w.”

dokończenie na s. III okładki

Danuta Nespik

Metropolita Andrzej Szeptycki – bliżej do świętości czy do polityki?

W zbiorowej pamięci Polaków osoba metropolity lwowskiego obrządku greckokatolickiego Andrzeja Szeptyckiego jest jedną z najbardziej kontrowersyjnych postaci. Dekret Kongregacji ds. Kanonizacyjnych o heroicznosci cnót metropolity w sierpniu br. podpisał papież Franciszek.



Decyzję papieża poprzedziły dwa wnioski beatyfikacyjne, tzw. artykuły – pierwszy w 1958 r., a drugi w 1962 r. Wywołały one nieprzychylną reakcję polskiego duchowieństwa i w wyniku starań kardynała Stefana Wyszyńskiego zostały zatrzymane.

Roman Aleksander Maria Szeptycki urodził się w 1865 r. w arystokratycznej rodzinie ruskiego

pochodzenia, późno spolonizowanej. Jego matka Zofia była jedyną córką Aleksandra Fredry. Ojciec, Jan Kanty zasiadał w Sejmie Galicyjskim i był członkiem Izby Panów parlamentu austriackiego. Wśród czterech braci metropolity – Aleksander i Leon należeli do zamożnych polskich ziemian, Stanisław był polskim generałem, ale Kazimierz, podobnie jak metropolita, z wyboru stał się Rusinem i zmienił obywatelstwo na ukraińskie.

Kariera Szeptyckiego do biskupiej piuski biegła szybko. W 1888 r. wstąpił do zakonu bazylianów, wkrótce został ihumenem (przeorem) przy cerkwi św. Onufrego we Lwowie, święcenia kapłańskie otrzymał w 1893 r., a sakrę biskupią i nominację na biskupa stanisławowskiego w 1899 r. Rok później w listopadzie 1900 r. został unickim arcybiskupem metropolitą lwowskim i biskupem kamienieckim.

Był gruntownie wykształcony, władał biegle kilkoma językami, studiował na uniwersytetach w Krakowie, Wrocławiu, Monachium i Wiedniu, posiadał 3 doktoraty z prawa, teologii i filozofii.

Dobrą zapowiedzią dla stosunków polsko-ukraińskich w Galicji był list pasterski metropolity z 1904 r. do Polaków grekokatolików, w którym napisał: *Ani biskup, ani ksiądz katolicki nie może dopuścić, by wkradła się polityka w świątynię jego urzędu... Dlatego chcę, byście wiedzieli, że szanuję Wasze przekonania, daleki jestem od myśli narzucania Wam patriotyzmu ruskiego.* Ta deklaracja Szeptyckiego w przyszłości okazała się pułapką. Metropolita stał się nie tylko ukraińskim patriotą, ale jako najwyższy hierarcha Cerkwi unickiej i polityk konsekwentnie reprezentował zawsze racje ukraińskie. Jego długi pontyfikat (1900–1944) odcisnął negatywne skutki w stosunkach polsko-ukraińskich a także na styku współpracy Kościoła rzymskokatolickiego z Cerkwią unicką.

W lutym 1919 r., w trakcie walk polsko-ukraińskich o Lwów i Galicję Wschodnią arcybiskup łaciński Lwowa metropolita Józef Bilczewski pisał do Szeptyckiego: *Prosiłem kilkakrotnie, abys Ekszelencjo raczył się zwrócić z pismem do władz ukraińskich, aby nie znęcały się nad ludnością polską i nie pozbawiały jej opieki duszpasterskiej. Odpowiedziałeś, że nie możesz tego uczynić, bo nie znasz prawdziwego stanu rzeczy, że musisz przestrzegać zasady audiatu et altera pars (racja drugiej strony – od red.).*

W II Rzeczypospolitej działalność społeczno-polityczna Szeptyckiego realizowała się w powstawaniu ukraińskich organizacji kulturalnych, naukowo-oświatowych, rolniczych. W latach 1921–1923 dyplomatyczna aktywność metropolity związana była z wizytacjami ukraińskiej emigracji w USA, Kanadzie, Brazylii i Argentynie oraz podporządkowana budowaniu świadomości religijnej z poczuciem tożsamości narodowej ukraińskiej diaspory. Posiew tych działań metropolity można nawet znaleźć w centrach ukraińskiej emigracji w kanadyjskim Toronto. W trakcie swojej podróży w USA złożył on 21 listopada 1921 r. w Sekretariacie Stanu w Waszyngtonie memorandum. Informował w nim, że przekazanie Polsce przez Radę Najwyższą Ententy Galicji Wschodniej – która wg niego zamieszkiwana jest w 72% przez Ukraińców – było powodem, iż znalazła się ona pod obcą władzą, a Polacy nadużywając tam swojej siły powodują trudności w odbudowie kraju po zniszczeniach wojennych. Podróżując po tych krajach nie składał wizyt w polskich poselstwach, mimo że obowiązywało go do tego posiadanie polskiego obywatelstwa.

W dwudziestoleciu międzywojennym dopiero fala ukraińskich zamachów terrorystycznych i zabójstwo ministra spraw wewnętrznych RP Bronisława Pierackiego w 1934 r. spowodowało potępienie przez Szeptyckiego terroru jako walki politycznej.

Tragiczne konsekwencje dla Polski paktu Ribbentrop–Mołotow spowodowały, że Szeptycki musiał stanąć wobec moralnych wyborów stworzonych przez okupację, ale nie wykazał minimum lojalności w stosunku do polskiego państwa. Po zajęciu Lwowa przez Sowietów zalecił swoim duchownym lojalność wobec nowej władzy, a po wybuchu wojny między Niemcami a ZSSR nadzieję związał z Hitlerem, sądząc, że Niemcy poprą koncepcję budowy niepodległej Ukrainy. Dał temu wyraz 5 lipca 1941 r. ogłaszając list pasterski do duchowieństwa i wiernych swojej archidiecezji. Było to zaledwie półtora dnia po zamordowaniu polskich profesorów na Wzgórzach Wuleckich. Warto w kontekście starań o jego beatyfikację (potrzebny jest jeszcze cud) przypomnieć fragmenty tego listu:

Z woli Wszechmogącego i Wszechmiłościwego Boga zaczyna się nowa epoka

naszej Ojczyzny. Zwycięską armię niemiecką, która zajęła już niemal cały kraj, witamy z radością i wdzięcznością za oswobodzenie od wroga... Aby Najwyższemu podziękować za wszystko co dał... każdy ksiądz odprawi w najbliższą niedzielę po otrzymaniu niniejszej odezwy dziękczynne nabożeństwo i po pieśni „Ciebie, Boże, chwalimy” wzniesie intencję za zwycięską armię niemiecką i Naród Ukraiński.

Kompromituje Szeptyckiego też list gratulacyjny wysłany do Hitlera 23 września 1941 r. z okazji zajęcia przez Niemców Kijowa: *Widzimy w Panu niezwykłego wodza niezrównanej i sławnej Armii Niemieckiej... Ukraińska Cerkiew greckokatolicka wie o historycznym znaczeniu potężnego ruchu Narodu Niemieckiego pod pańskim kierownictwem. Będę się modlił do Boga o błogosławieństwo zwycięstwa, które stanie się rękomią trwałego pokoju dla Waszej Ekscelencji, Armii Niemieckiej i Niemieckiego Narodu.* Nie potępił członków sformowanej z Ukraińców kolaboranckiej dywizji SS Galizien. W werbunku do niej uczestniczyły unickie parafie, 20 duchownych objęło, za zgodą metropolity, funkcje kapelanów w oddziałach tej jednostki, a najbliższy współpracownik metropolity biskup Slipyj odprawił 23 kwietnia 1943 r. mszę św. w intencji esesmańskiej dywizji.

Chwiejność moralna Szeptyckiego w sytuacjach granicznych – a taką stworzyło ludobójstwo Polaków na Wołyniu i Małopolsce Wschodniej, dokonane przez nacjonalistów ukraińskich i UPA – ujawnia korespondencja Szeptyckiego z arcybiskupem łacińskim metropolitą lwowskim Bolesławem Twardowskim w latach 1943–1944. Szeptycki miał dwuznaczny stosunek do UPA. Oficjalnie ani jej nie potępił, ani też nie popierał. Oczywiście, że Szeptycki potępił terroryzm jako sprzeczny z zasadami chrześcijaństwa, ale potępił go „bezosobowo” nigdy nie wymieniając personalnie czy zbiorowo winowajcy. Przykładem takiej postawy jest jego słynny list „Nie zabijaj” ogłoszony w listopadzie 1942 r. Pisał w nim: *Chrześcijanin jest zobowiązany do zachowania prawa Bożego nie tylko w życiu prywatnym, ale i w życiu politycznym oraz społecznym.*

Człowiek, który przelewa niewinną krew, jest takim samym zabójcą jak ten, który czyni to dla rabunku, i tak samo zasługuje na karę Bożą oraz klątwę Kościoła.

Ostatnie oddziały niemieckie opuściły Lwów 27 lipca 1944 r. Szeptycki z pogrzebaną nadzieją niepodległości dla narodu, który był jego narodem z wyboru, stary i schorowany (zmarł 1 XI 1944 r.), po raz ostatni chcąc ratować zniechęconą przez Sowietów unicką Cerkiew, szukał modus vivendi w warunkach radzieckiej władzy. Dwa tygodnie przed śmiercią wystosował list do Stalina: *Cały świat chyli czoło przed Wami... przyłączyliście na nowo zachodnie ukraińskie ziemie do Wielkiej Ukrainy.*

Za spełnienie pragnień Ukraińców – pisał metropolita – którzy chcieli być zjednoczeni w jednym państwie, naród ukraiński składa serdeczne dzięki, a Cerkiew i cały naród znajdzie w ZSSR swobodę pracy i rozwoju pod Waszym przewodnictwem.

Czy istnieją powody, by Polacy, zwłaszcza o kresowych korzeniach, zaprotestowali przeciw beatyfikacji metropolity? Te powody są następujące:

- 1. wspieranie nacjonalizmu ukraińskiego w posłudze pastoralnej Cerkwi unickiej kierowanej przez metropolitę,**
- 2. działanie na szkodę państwa polskiego podczas zagranicznych wizytacji Szeptyckiego diaspory ukraińskiej**
- 3. brak zdecydowanego sprzeciwu wobec ludobójstwa Polaków przez wierznych unickiej archidiecezji lwowskiej, członków lub współpracujących z UPA,**
- 4. wyrażenie zgody na oddelegowanie ukraińskich kapelanów do kolaboranckiej dywizji SS Galizien,**
- 5. niepodjęcie współpracy z przedstawicielami Episkopatu Polski, arcybiskupami lwowskimi Józefem Bilczewskim i Bolesławem Twardowskim.**

Zarząd Oddziału Krakowskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w pełni podziela stanowisko Autorki zawarte w powyższym artykule.

KULTURA NAUKA

SEMINARIUM PRZEDWOJENNYLWÓW I JEGO UCZENI

sylwetki

działalność naukowa

osiągnięcia

28 września 2015 r. odbyło się w Krakowie seminarium pod tytułem jw., zorganizowane przez Instytut Geografii Uniwersytetu Pedagogicznego oraz Śródmiejski Ośrodek Kultury, przy patronacie Krakowskiego Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich.

Seminarium odbyło się w siedzibie ŚOK i objęło 15 referatów, wygłoszonych przez naukowców z Krakowa i pięciu innych miast. Trwało przez cały dzień (z krótkimi przerwami).

REFERATY

dr hab. Katarzyna Dormus, prof. Instytutu Historii Nauki PAN: *Lwowskie środowisko historyków wychowania*

dr hab. Paweł Polak, Uniwersytet Papieński JP II, Kraków, Katedra Filozofii Przyrody: *Lwowska filozofia w nauce przed II wojną światową (poza kręgiem uczniów ks. Twardowskiego)*

dr hab. Anna Trojanowska, prof. Instytutu Historii Nauki PAN: *Mieczysław Dunin-Wąsowicz (1849–1913), chemik miejski we Lwowie*

dr Agnieszka Rzepiela, Muzeum Farmacji Collegium Medium UJ, Kraków: *Prof. Henryk Ruebenbauer – od laboratorium chemicznego do rozważań o zawodzie aptekarza*

dr Sławomir Dorocki, mgr Paweł Brzegowy, Instytut Geografii Uniw. Pedagogicznego, Kraków: *Antoni Rehman (1840–1917) – pierwszy geograf Lwowa*

dr hab. Witold Wilczyński, prof. Instytutu Geografii Uniw. Pedagogicznego, Kraków:

O geograficznym dorobku Eugeniusza Romera

prof. dr hab. Monika Waksmundzka-Hajnos, Zakład Chemii Nieorganicznej Uniwersytetu Medycznego w Lublinie: *Stefan Ba-nach – fakty znane i nieznanne*

dr hab. Adam Redzik, Instytut Profilaktyki Społecznej i Resocjalizacji Uniw. Warszawskiego: *Osiągnięcia uczonych z Wydziału Prawa Uniwersytetu JK we Lwowie*

dr Renata Wiaderka-Kuśnierz, Instytut Historii i Politologii Akad. Pomorskiej, Słupsk: *Profesor Leon hr. Piniński (1857–1938) – lwowski prawnik, polityk, historyk sztuki i kompozytor*

dr hab. Krzysztof Królczyk, Instytut Historii Uniwersytetu w Poznaniu: *Ludwik Ćwikliński – profesor filologii klasycznej na Uniwersytecie Lwowskim*

prof. dr hab. Stefan Ciara, Instytut Historyczny, Uniw. Warszawski: *Dr Helena Polackówna (1881–1942) – kustosz Archiwum Bernardyńskiego we Lwowie, docent nauk pomocniczych historii*

prof. dr hab. Barbara Gierszewska, Instytut Filologii Polskiej Uniwersytetu w Kielcach: *Marzenia o katedrze? O doktoratach i karierach naukowych absolwentów UJK we Lwowie*

Tomasz Kuba Kozłowski, Dom Spotkań z Historią w Warszawie: *Lwowiak przyszywany. Profesor Leon Kozłowski jako kierownik katedry prehistorii Uniwersytetu JK w latach 1921–1939*

dr Stanisław Dziedzic, Wydział Kultury i Dziedzictwa Narodowego Urzędu M. Krakowa: *Józef Bilczewski – z uniwersyteckiej katedry na stolicę arcybiskupią we Lwowie*

prof. dr hab. Agnieszka Cieślikowa, Instytut Historii PAN, Warszawa: *Szybowcowa kolebka – wokół Instytutu Techniki Szybownictwa we Lwowie 1932–1939*

mgr Weronika Drohobycka-Grzesiak, Instytut Historii Sztuki UJ, Kraków: *Uczniowie-konstruktorzy Politechniki Lwowskiej.*

LISTA OFIARODAWCÓW (16) na wspomnienie wydawnictwa kwartalnika CRACOVIA–LEOPOLIS

Bogdan Kasprowicz, Bytom; Małgorzata Pawłowska, Wrocław; Jan Sosnowski, Włosań; Adam Taborski, Mosina.

Ofiarodawcom serdecznie dziękujemy.

Muzyka

W STARYM KRAKOWIE

Otrzymaliśmy od Dyrektora Stanisława Gałońskiego zaproszenie na **XL Festiwal Muzyka w Starym Krakowie**, którego p. Gałoński jest twórcą i dyrektorem artystycznym.

Przypomnijmy na wstępie, że S. Gałoński jest postacią z naszych wschodnio-małopolskich stron – urodził się w Trembowli. Po II wojnie znalazł się w Krakowie [studia] i tu założył dwie ważne instytucje muzyczne: Capellę Cracoviensis, którą prowadził do niedawna, oraz właśnie coroczne festiwale Muzyka w Starym Krakowie, które urządzane są pod Jego kierownictwem artystycznym i organizacyjnym od 1976 roku do dziś. Oby jak najdłużej!

Tegoroczny, czterdziesty Festiwal odbył się w dniach 15–31 sierpnia. Złożyły się nań 22 koncerty z udziałem wielu znakomych zespołów krajowych i zagranicznych, a także ze Lwowa. Wśród artystów znaleźliśmy znane nam nazwiska, m.in. K. Pendereckiego, K. Danczowskiej, E. Stefańskiej, K. Jakowicza, I. Monighettiego, dyrygenta S. Krawczyńskiego. Naszą szczególną uwagę zwrócił *Kwartet Leopoldis* (ukraiński) z cyklu „*Młode talenty*”.

To nie wszystko. Dowiedzieliśmy się przy tej okazji, że w tym samym terminie (2. poł. sierpnia '15) odbywa się analogiczny, choć skromniejszy festiwal pod nazwą *Muzyka w Starym Lwowie*, urządzany przez Ukraińców, jednak przy pełnej współpracy z współorganizatorem dyr. Gałońskim i Festiwalem Muzyka w Starym Krakowie. Tegoroczny II Festiwal objął 14 koncertów, wykonywanych przez artystów lokalnych i z RP.

Warto zwrócić uwagę na miejsca wykonywania koncertów. Oto zauważyliśmy tam kilka wymienionych wewnątrz cerkiewnych i b. kościelnych (zabranych) oraz – kościół św. Marii Magdaleny, uważany tam za salę muzyki organowej i z tego tytułu niezwracany na własność rzymskim katolikom. Okazuje się więc, że wykonywanie muzyki w czynnych świątyniach jest tam możliwe, a utrudnienia są stosowane jedynie wobec Kościoła rzymskokatolickiego.

ZAMEK W ŻÓŁKWI

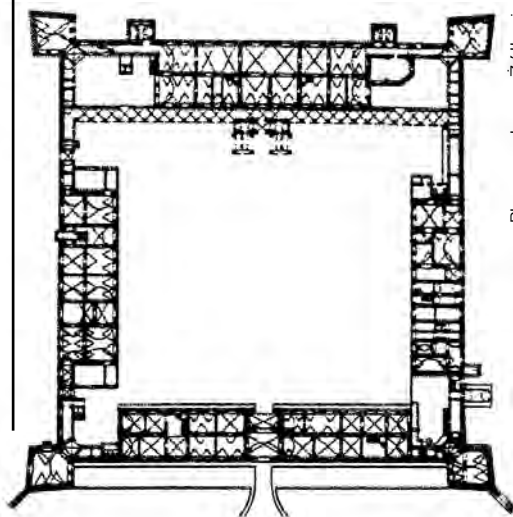
24 czerwca br. podpisany został list intencyjny w sprawie współpracy przy tworzeniu projektu stałej ekspozycji w zamku w Żółkwi.

Zamek w XVI wieku należał do hetmana wielkiego koronnego Stanisława Żółkiewskiego (1547–1620), a w późniejszym okresie należał do rodziny Sobieskich. W tamtejszej kolegiacie pw. św. Wawrzyńca znajdują się nagrobki i sarkofagi Żółkiewskich: Stanisława, żony Reginy z Herburtów, jego syna Jana (zm. 1623) – starosty hrubieszowskiego i jaworowskiego, oraz córki Zofii z Żółkiewskich Daniłowiczowej (1590–1634) – wojewodziny ruskiej, kasztelana krakowskiego Jakuba Sobieskiego (1591–1646) – ojca króla Jana III Sobieskiego i starosty korsuńskiego i czechryńskiego Stanisława Daniłowicza (1609–1636).

List intencyjny podpisali Leszek Zegzda – członek Zarządu Województwa Małopolskiego, Włodzimierz Gorycz – dyrektor Państwowego Historyczno-Architektonicznego Rezerwatu w Żółkwi oraz Michał Niezabitowski – dyrektor Muzeum Historycznego Miasta Krakowa.

Wystawa w żółkiewskim zamku ma pokazywać chwałę rycerstwa polskiego i ruskiego, historię Żółkwi i rodów Żółkiewskich i Sobieskich oraz związanego z tymi miejscami hetmana ukraińskiego Iwana Mazepy (1639–1709).

Warto przypomnieć, że w latach 90. XX w. uchwałą Rady Miasta Krakowa z gminnych pieniędzy ufundowano miedziany dach na kolegiacie w Żółkwi.



Plan zamku w Żółkwi

Secesja we Lwowie

11 sierpnia 2015 roku została otwarta w Krakowie na pl. Szczepańskim wystawa **Secesja we Lwowie**. Ekspozycja, złożona z 40 plansz, na kortenowych kratkach ma na celu popularyzację zabytków lwowskiej secesji i odkrycia na nowo jej piękna. Wystawa „Secesja we Lwowie” prezentuje ułamek jednego z najznakomitszych i dobrze zachowanych zespołów architektonicznych Europy Środkowo-Wschodniej z początku XX w.

MARIA TASZYCKA 1934–2015

Znaliśmy Ją jeszcze przed zawiązaniem się naszego Towarzystwa w Krakowie, kiedy spotykaliśmy się w różnych klubach i lokalach, działając półoficjalnie społecznie i towarzysko. W 1989 r. Towarzystwo Miłośników Lwowa (nieco później *i Kresów Płd. Wsch.*) stało się oficjalne i wtedy rozpoczęły się różne poważne akcje. W 1995 roku powołaliśmy kwartalnik „Cracovia–Leopolis”, a w gronie redaktorów znalazła się również pani Maria Taszycka. Jej aktywność okazała się szczególnie: już od pierwszego numeru podjęła opracowywanie haseł do słownika geograficzno-historycznego, który stał się ważnym elementem kwartalnika. Omawiano w nim miejscowości zabranych nam po wojnie światowej Ziemi Południowo-Wschodnich II Rzeczypospolitej, czasem również Wołynia. Były to miasta, miasteczka i ciekawsze wsie, z którymi wiązała się szczególna historia i zabytkowe obiekty. W sumie opracowała circa 350 haseł słownikowych do ok. 60 numerów kwartalnika. Praca pani Marii Taszyckiej powinna być zaczynem do dalszych opracowań geograficzno-historycznych dla przyszłego Instytutu Polskiego Dziedzictwa Historii i Kultury Ziemi Południowo-Wschodnich.



Zabytki te swoją unikalnością zawdzięczają wybitnym architektom związanym z Politechniką Lwowską.

Przykładem wyjątkowego charakteru tej architektury jest zdobnictwo zaczerpnięte ze stylu zakopiańskiego czy huculskiej. Rozwiązania te są unikalne, występują tylko na terenie Galicji.

Organizacja tej nietypowej wystawy zbiega się z tegorocznymi obchodami 130. rocznicy urodzin Witkacego oraz 100. rocznicy śmierci jego ojca Stanisława Witkiewicza, twórcy stylu zakopiańskiego.

Pani Maria, pracując etatowo (jeszcze przed emeryturą) w krakowskim Muzeum Narodowym miała możliwość korzystania ze zgromadzonych w tamtejszej bibliotece książek historycznych, przewodników, albumów. Czyniła to przez niemal 15 lat, do czasu, gdy Jej siły fizyczne na to pozwalały (dźwiganie często opasłych tomów, wspinanie się po drabinach). Przez pewien czas inne osoby starały się Ją zastąpić, brakowało im jednak podobnej inicjatywy i samozaparci. W końcu słownik musiał na razie upaść...

Maria Taszycka urodziła się we Lwowie w 1934 r. Była córką Witolda Taszyckiego, znakomitego profesora polonisty na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, a po II wojnie na UJ w Krakowie. Matką była Halina z Gieysztorów.

Studia historii sztuki ukończyła na UJ w Krakowie, tam też się doktoryzowała. Jej specjalnością stały się zabytkowe tkaniny i hafty polskie, zachodnioeuropejskie i orientalne. Była autorytetem w tej dziedzinie, ogłosiła szereg publikacji. Przez wiele lat była kustoszem, kierownikiem tego działu.

Była człowiekiem dużej szlachetności, uznawano Jej subtelność inteligencji, osobisty urok, poczucie humoru. Zapamiętamy Ją jako oddaną Lwowiankę i zasłużoną członkinię naszego Towarzystwa.

Pogrzeb odbył się 24 lipca na cmentarzu Salwatorskim w Krakowie.

Marian Hemar

Elegia Lwowska

Niechaj mi język uschnie, niechaj mi ręka uschnięta
Piórem zapomni wodzić i w palcach go nie utrzyma
Jeślibym ciebie zapomniał, o Jeruzalem święta
O miasto nieszczęśliwe. Ty, umarłemi oczyma
Moich rodziców, ojca mego lwowianina,
Matki mojej lwowianki, patrzysz na mnie z daleka,
Z dalekości tak wielkiej, że już tam się zaczyna
Bliskość, obecność, szumiąca za oknem nocy, jak rzeka.
I tam Czas nie przemija. W powietrzu zawisnął, czeka –
Anioł znieruchomiały w zaczerpniętym mieście –
Nad Mickiewiczem, lirę biorącym z rąk Anioła.
I obaj tak zastygli w tym posągowym geście.

O miasto moje, o Lwowie, twój krzyk mnie po nocy woła.
Słyszę cię coraz bliżej, rozumiem coraz przytomniej;
Wołasz mnie głosem matki. Poznałem jej głos, to ona,
Spoza śmierci pamiętna, ponad śmierć uśmiechnięta,
Powtarza mi: Nie zapomnij. Czy słyszysz? Nie zapomnij.

Jakże mi ciebie zapomnieć, o Jeruzalem święta,
O miasto, w żadnym na świecie nie odszukane mieście,
O matko, niczyjem na świecie sercem niezastąpiona.

Jak jest gorzki, jak łatwy jest łzawy egotyzm
Ludzi wydziedziczonych i z domu wyzutych
I zapatrzonych w przeszłość, i żalem zatrutych
I skazanych do śmierci na ten patriotyzm
Wspomnień i sentymentów i skargi dziecięcej.

Słyszą – przez noc londyńską szumi wiatr podolski –
A on coś ważniejszego szepce im, coś więcej
Niż wróżby o terminie powrotu do Polski.
Wieje przez noc londyńską i w snu półświadomość
Jak chorągiew trzepoce i jak orzeł kwili,
Że tam – w kącie Europy – w tym mieście – w tej chwili
Czas wstrzymał dech.

W posągu straszna nieruchomość
Anioł, na skrzydłach ciemnych, z lirą w ręku złata –
Król poetów twarz podniósł ku anielskiej twarzy
I w tej chwili, w tem mieście zdradzonym, się waży
Los ziemi i los nieba. Los ludzi i świata.

Albo tę lirę polscy odbiorą poeci,
W mieście polskim, jak lira rzewnym, śpiewnostrunem –
Albo Anioł znad Lwowa, znad świata odleci
I drzwi nieba za sobą zatrzaśnie – piorunem!



Poezjo, na cóż ciebie na świecie potrzeba?
Na co potrzebne twoje zawile meandry?
Na to jedno – byś głową biła o mur nieba!
Abyś płakała krzykiem szalonej Kasandry!
Byś dłonią wiecznie wierną, do hańby niezdolną,
Piórem w krwi umaczanem pisała dokument,
W którym, na wszystkie krzywdy jeden znasz argument;
Zabraniam! Nie ustąpię! Nie wolno! Nie wolno!
Żebyś jak pies się kładła i wyła u proga,
Gdy Bóg zechce go minąć mimo nas i bez nas.
Bo ty jedna poruszyć umiesz serce Boga –
Poety, zdradzonego przez dzieło Swe – przez nas.

Niechże mi język uschnie, niechże mi ręka uschnięta
Piórem nie włada. Niech wiersz zgaśnie mi w serca popiele
Jeślibym ciebie zapomniał, o Jeruzalem święta!
O miasto moje! O matko moja! O mój Aniele.

Kornel Ujejski

Na obchodzie jubileuszowym urządzonym dla poety we Lwowie dnia 18 października 1893 r.

W pismach, jakie otrzymałem, i w tych przemówieniach, których tu ze wzruszeniem słuchałem, wszędzie góruje myśl uczczenia we mnie nie tylko poety, ale i dobrego syna ojczyzny – a dla Polaka najwyższy to tytuł i uznanie. I wielką jest mi to radością, że naród rozumiał moją duszę i wie, że poezja nie była dla mnie ukochaną sztuką, ale jednym z narzędzi, którym posługiwałem się najchętniej w pracy narodowej. Więc i teraz będę naprzód mówić o tym, czym pełna polska dusza moja.

Z tej Woli Wszechmocnej, co stworzyła świat z niczego, dany został człowiekowi w udziale jej atom. Drobina tej Woli, w ćwiczeniu i wytężeniu rosnąca, staje się nieraz przerażająco potężna. W świecie materii góry przenosi i zdobywa niebo. Nie ma upadku, nie ma klęski, z których by wolą silną wydobyć się nie można. Szatan, gdyby chciał, stałby się na powrót archaniołem.

Znane są cudowne ocalenia niektórych więźniów. Z ciemnic, otoczeni grubymi murami, wyłamywali się oni na światło i wolność. Czym drażyli, czym przebijali mury? Niczym – zębem, pazurem, znalezionym przypadkowo ćwiekiem. Tego dokonuje obezwładniony, pojedynczy człowiek. Miałażby mniej mocy zbiorowa wola spętanego całego narodu?! Z kajdan wyrwane i rozłamane ogniwa niech zaostrzy na ćwieki, a po latach pracy pękną i rozlecą się mury jego niewoli! Kto dobrze słucha, ten słyszy z grobów i z błękitów odzywające się do nas głosy: Chcecie mieć Polskę? Chcecie mieć ojczyznę wolną, nie tylko wolną, ale miłą Bogu ojczyznę?... Na to jedyna rada: CHCIEJCIE!

Zawiodło mnie życie. Ja tak silnie wierzyłem, że doczekam Polski, albo przynajmniej

będę jak żołnierz, co umierając na polu bitwy patrzy na zapał armii zapowiadający bliskie jej zwycięstwo. Na co nie czekałem, przed czym, jak wiadomo, usunąć się chciałem, to mnie spotyka: spadają na mnie chwała i zaszczyty. Chwała, ona mi gorzka, bo mój naród w poniżeniu. Zaszczyty nigdy mnie nie nęciły – lecz przyjmuję je z głęboką wdzięcznością, bo pod ich pokrywą miłość rodaków dla mnie, która mnie rozrzewnia, ta wspinałomyślna, prawie rozrzutna miłość serc polskich, co przyznając zasługi nie liczy się z wyrazami i nagrodą. Kiedy stanie mój duch przed sądem Boga,

powiem: *Kochało mnie wielu w moim narodzie, dla tej miłości odpuść mnie, Panie, winy moje człowiecze.* I sądzę, że stawiając tę miłość jako orędowniczkę przed Stwórcą moim, uczczę ją tym najlepiej.

Wszystko tu zmienne i znikome, wszystko przemija, i najgłośniejsza sława przemija. I nic nie stosowniejszego jak wyraz „nieśmiertelny” przyczepiony do dzieł ludzkich. To tylko trwa, to tylko ma wieczną wartość, co człowiek na usługach wielkiej idei dla swego ducha zarobi. A ten szczęśliwy i błogosławiony, kto tym dorobkiem z bliźnimi podzielić się może i wzbogaci ich dusze podnosząc je i doskonaląc.

Dzielić się dobrem to zawsze radość, a często i obowiązek. Z radością spełniam go dzisiaj, bo część wieńców, które otrzymałem, odnoszę myślą na cmentarz w Chyrowie i składam na zapomnianym grobie Józefa Nikorowicza, twórcy muzyki *Chorału*. Tak mało naród wie o nim, a przecież ta muzyka silniej, bo szerzej od słów działa. A trzeba i to wiedzieć, że nie moje słowa natchnęły Nikorowicza, ale jego utwór muzyczny mnie natchnął. W czasie kiedy zacząłem pisać



SYLWETKI

ALFRED SCHREYER

Drohobycz 1922 – Drohobycz 2015

We współczesnym Drohobyczu ostatni „przedwojenny” Żyd i ostatni uczeń Brunona Schulza oraz jego muzy Józefiny Szelińskiej. Strażnik Pamięci, szanowany Autorytet i encyklopedia wiedzy o polskim i żydowskim przedwojennym Drohobyczu oraz o Brunonie Schulzu, polskim pisarzu żydowskiego pochodzenia.

Po stracie zamordowanych w Drohobyczu rodziców i 4 latach niemieckich obozów, najpierw pracy, później zagłady, w ostatniej chwili jako śpiewak ocalony i zawsze powracający do Drohobycza mimo atrakcyjnych propozycji.

Muzyk, skrzypek i pieśniarz koncertował wiele razy po tej i tamtej stronie, a także w Berlinie, Londynie i Wiedniu. Śpiewał pięknym barytonem po polsku, po ukraińsku i po żydowsku. Mając 84 lata założył własne trio wokalo-instrumentalne, którym kierował i z którym występował do jesieni 2014 r.

Po 1989 roku wspierał w Drohobyczu powstanie Oddziału Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej, a w 1990 – założenie pierwszego na Ziemi Drohobyckiej polskiego, młodzieżowego chóru „Odrodzenie”, do dziś kultywującego polski język. Przez wiele lat był jego kierownikiem. Chór występował na bardzo licznych uroczystościach kościelnych i świeckich z bogatym repertuarem polskim, żydowskim i ukraińskim – od kolęd i przedwojennych szlagierów po pieśni patriotyczne i wojskowe.

Bohater kilkunastu polskich i obcojęzycznych filmów, kilku książek i wielu artykułów prasowych oraz audycji radiowych i telewizyjnych. Posługiwał się pięknym, literackim polskim językiem, był zawsze pogodny, dla wszystkich życzliwy i cierpliwy wobec licznych Jego gości z całego świata.

Po wielu staraniach doprowadził do tego, że ukraiński Drohobycz zaczyna się szczyć Brunonem Schulzem, a młodsze pokolenie organizuje co dwa lata jego Festiwal (w roku 2014 szósty), który gromadzi mi-

Skargi Jeremiego, i w innej pierwotnie formie, odwiedziłem go, jako miłego przyjaciela w Boiskach pod Lwowem i zagrał mi wtedy świeżo skomponowany swój chorał. Do głębi wzruszony uniosłem tę muzykę w ucho i w duszy, i jeszcze tego samego dnia napisałem do niej słowa. Polecam wdzięcznej pamięci rodaków współtwórcę *Chorału*.

A teraz chciałbym podziękować. Niechże idzie słowo proste, szczere, nasze, słowo najtreściwsze i najwymowniejsze, co nigdy pustym wyrazem stać się nie może: Bóg zapłać! Bóg zapłać miastu Lwowowi i Radzie Miejskiej, temu miastu, którego prawie jestem dzieckiem, bo w nim się wychowałem; innym miastom i instytucjom; przyjaciołom, którzy zawiązali się w grono, aby – mimo mojej prośby o zaniechanie tego zamiaru – przeprowadzić ten jubileusz; rodakom na naszej i na obcych ziemiach, od których otrzymywałem słowa miłości i uznania; ach, i tym, na ziemi srogiego ucisku, którzy nie cichym jękiem, a głosem pełnym hartu i wiary w odrodzenie ojczyzny także do mnie przemówili – wszystkim za wszystko: Bóg zapłać!

Podziękowałem – a i tak mi to nie wystarcza! Jakże bym chciał, choć w myśli, do gorącej miłością piersi przycisnąć kogo!... A więc wszystkich dobrych Polaków w różnych obozach politycznych, którzy w czystości ducha pracują dla Polski, wolni od niskich ambicji i celów osobistych. Boże, błogostaw ich pracy, a co w niej spaczne – prostuj!

Żyj Polsko!

CHORAŁ (1 zwrotka)

*Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej
Do Ciebie Panie bije ten głos,
Skarga to straszna, jęk to ostatni,
Od takich modłów bieleje włos.
My już bez skargi nie znamy śpiewu,
Wieniec cierniowy wrósł w naszą skroń,
Wiecznie jak pomnik Twojego gniewu,
Sterczy ku Tobie błagalna dłoń!*

Tekst autora oraz jego *Chorału* pochodzą z tomiku: Kornel Ujejski, *Wybór poezji i prozy*, wyd. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1992, w ramach Biblioteki Narodowej – pierwsze wydanie 1921.

łośników Schulza od Japonii po Brazylię. Przetłumaczyli oni jego książki już na 39 języków. Młodzi ukraińscy malarze, poeci, artyści i reżyserzy nie wstydzą się już swoich prac inspirowanych twórczością Schulza.

Kawaler bardzo wielu odznaczeń, w tym Złotego Medalu „Zasłużony Kulturze *Gloria Artis*”.

Od 1991 roku Członek Honorowy Stowarzyszenia Przyjaciół Ziemi Drohobyckiej.



Marzena i Marek Florkowscy

Ze Lwowa do Krakowa

Nieznana historia Ludwika Zarewicza

Zapomniany historyk

Z wyboru był krakowianinem, choć urodził się we Lwowie i tam spędził dzieciństwo i młodość.

Nie ma w tym stwierdzeniu niczego nadzwyczajnego, podobnie jak w faktie, że stał się wielkim miłośnikiem Krakowa. Takich życiorysów jest wiele. Co zatem skłoniło nas do bliższego zajęcia się tą właśnie postacią i życiem Ludwika Zarewicza?

Powodów było kilka. Po pierwsze był w Krakowie w II połowie XIX wieku postacią poważaną, choć dziś jego nazwisko bliższe jest właściwie tylko garstce historyków sztuki i historyków Krakowa. Badał miejsca mało znane – był pierwszym historykiem klasztoru kamedułów na Bielanych i co więcej – także całego zakonu kameduńskiego w Polsce, a stało się to możliwe dzięki jego wielokrotnym wyprawom na Bielany, przyjaźni z zakonnikami i udostępnieniu mu archiwum zakonnego, co było wyrazem wielkiego zaufania. Badał także kościoły na Skałce czy katedrę wawelską, ale wyprawiał się i w teren, np. do pobliskich Dobczyc czy Lanckorony, którym poświęcił osobne monografie.

Także jego życie osobiste obfitowało w ważne wydarzenia – był ojcem Aleksandra, który w wieku dorosłym stał się cenionym lekarzem Krakowa i kolekcjonerem dzieł sztuki. W jego mieszkaniu przy ul. Floriańskiej 40 często spotkać można było Jacka Malczewskiego i Kazimierza Pochwalskiego.

Jedną z córek Ludwika Zarewicza, Michalina, wyszła natomiast za mąż za Juliana Pagaczewskiego, znanego w mieście browarnika, który jako pierwszy w kraju rozpoczął produkcję portera, wcześniej sprodawanego z Anglii. Ich synem był Julian Pagaczewski junior, w przyszłości znany i wybitny historyk sztuki, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego. Z powodu przedwczesnej śmierci ojca jego wychowaniem zajmował się m.in. dziadek macierzysty Ludwik Zarewicz i to on w dużej mierze wpłynął na rozwój zainteresowań wnuka.

Filozof i prawnik wykształcony we Lwowie

Do końca nie wiadomo, co sprawiło, że w roku 1846 Ludwik Zarewicz przyjechał do Krakowa i tu się osiedlił. Urodził się w 1813 roku we Lwowie i został ochrzczony w obrządku łacińskim w kościele parafialnym św. Marii Magdaleny. W szóstym roku życia stracił ojca, a pomoc w wychowaniu syna zadeklarował jego stryj i chrzestny Andrzej Zarewicz, prawnik i sekretarz w magistracie.

Zapewnił on swojemu chrześniakowi wykształcenie na równi z własnymi synami, dbał o jego rozwój duchowy i kulturalny.

Ludwik Zarewicz studiował na Uniwersytecie Lwowskim. Równocześnie starał się rozwijać swoje zainteresowania: nadobowiązkowo słuchał wykładów z historii ogólnej, historii austriackiej, ascetyki, sztuk pięknych, archeologii, filologii greckiej i numizmatyki. Wśród jego nauczycieli byli tak zasłużeni jak: Franciszek Kodesch, prawnik, w latach 1808–1809 rektor UJ; August Kuzek, fizyk, później wykładowca na Uniwersytecie w Wiedniu; Grzegorz Jachimowicz, zakonnik, w następnych latach metropolita lwowski obrządku greckiego; Franciszek

Michał Canaval, filolog; Franciszek Stroński, filozof, dyrektor biblioteki Uniwersytetu Lwowskiego i Biblioteki Jagiellońskiej. Najbardziej przez wszystkich ukochanym wykładowcą był Józef Mauss z wolnego księstwa badeńskiego, instruktor rządowy austriacki Ferdynanda II, który wykładał historię, archeologię i sztukę. Prawdopodobnie to wówczas, podczas spotkań z tak niebanalnymi osobowościami, zrodziła się lub ugruntowała pasja historyczna Ludwika Zarewicza. Na jej pełny rozkwit trzeba było jednak jeszcze trochę czasu.

Miłośnik Krakowa

Ludwik Zarewicz ukończył także studia prawnicze na Akademii Lwowskiej i pracował początkowo we Lwowie, a następnie w Samborze. Jednocześnie zdecydował się na założenie rodziny z Klotyldą z Gajdów. W 1846 roku opuścił Sambor i przeprowadził się do Krakowa. Mieszkał przy ulicy Karmelickiej, w najbliższym sąsiedztwie Walerego Eliasza Radzikowskiego, Ambrożego Grabowskiego i trochę dalszym – Estreicherów.

Ludwik Zarewicz rozwijał swoje pasje historyczne stając się wnikliwym badaczem archiwów i księgozbiorów krakowskich. Okres rozkwitu przeżywała wtedy Biblioteka Jagiellońska mieszcząca się w Collegium Maius, a kolejni jej dyrektorowie przyczyniali się do jej rozwoju. Dla Zarewicza szczególnie ważny był czas, kiedy tę funkcję sprawował Karol Estreicher. Właśnie w Bibliotece Jagiellońskiej, w przechowywanej tam spuściznie po Żegocie Paulim zachowały się odręczne notatki Ludwika Zarewicza. Ci dwaj badacze być może zetknęli się jeszcze we Lwowie, gdzie od roku 1843 Żegota Pauli uczestniczył w życiu literackim i politycznym, lub później w Krakowie, gdzie Pauli pracował jako bibliotekarz i konserwator archiwum Potockich, a następnie właśnie w „Jagiellonce” Zarewicz śledził z uwagą wszelkie wydarzenia w mieście. W tym czasie istotne zmiany dokonywały się m.in. w kościele na Skałce – miejscu śmierci św. Stanisława. Obchodzono nie tylko 800-lecie jego śmierci, ale w roku następnym 400-lecie śmierci Jana Długosza. Postanowiono wówczas przenieść doczesne szczątki Długosza do nowego grobowca. Ludwik Zarewicz relacjonował przebieg zdarzeń, których prawdopodobnie był naocznym świadkiem.

Choć nie dysponujemy bezpośrednimi dowodami, to jednak można przypuszczać, że interesował się Zarewicz także prowadzonymi w latach 1873–1878 pracami konserwatorskimi w grobach królewskich na Wawelu. Odnowiono wówczas krypty i sarkofagi i udostępniono je zwiedzającym, co spotkało się z wielkim zainteresowaniem społeczeństwa. Sam Zarewicz zresztą był inicjatorem otwarcia grobów Mikołaja Wolskiego, Pawła Henika znajdujących się w kościele eremu bieleńskiego i zamieścił w swoich książkach bardzo szczegółowe relacje.

Klasztor kamedułów na Bielanach był jego ulubionym zakątkiem Krakowa. Owocem wielogodzinnych i wielomiesięcznych poszukiwań w archiwum klasztornym, a także rozmów z mnichami stała się książka *Zakon Kamedułów. Jego fundacje i dziejowe wspomnienia w Polsce i na Litwie*.

Powroty

Ludwik Zarewicz zmarł 17 września 1890 roku na żółtaczkę i zapalenie płuc i dwa dni później został pochowany na cmentarzu Rakowickim w Krakowie w grobowcu, który sam budował. Czy przed śmiercią choć raz powrócił do Lwowa? Czy chciał obejrzeć miejsca dzieciństwa i młodości? Czy myślał o napisaniu historii Lwowa lub choćby wspomnień z okresu studiów? Nie zachowały się żadne notatki, które mogłyby na to wskazywać. Podobnie jak nie wiemy nic na temat wyjazdów do Lwowa jego syna czy wnuka, a przecież nawet z punktu widzenia czysto naukowego byłoby to dla nich ciekawe.

Być może to są jeszcze obszary nieodkryte i godne dalszych poszukiwań, podobnie jak szukanie śladów Ludwika Zarewicza w samym Lwowie.

Marzena i Marek Florkowscy są autorami książki „Ludwik Zarewicz – miłośnik Krakowa i przyjaciel Kamedułów”, Kraków 2014.



Jerzy Hickiewicz, Przemysław Sadłowski

Kazimierz Drewnowski

Stanisławów – Lwów – Warszawa

Kazimierz Drewnowski (1881–1952) urodził się w Stanisławowie. W latach 1899–1903 studiował na Wydziale Budowy Maszyn Szkoły Politechnicznej we Lwowie. Swoją wiedzę uzupełniał studiując w: Zurychu i Darmstadt. Po odbyciu praktyki w zakładach Siemens-Schuckert w Wiedniu, krótko pracował w elektrowni Thusy-Hauterive w Szwajcarii, a w latach 1906–07 w fabryce kondensatorów Ignacego Mościckiego we Fryburgu, gdzie prowadził pionierskie prace doświadczalne nad zastosowaniem ich jako ochrony od przepięć.

Od 1907 r. do początku I wojny światowej był adiunktem prof. R. Dzieślewskiego w Katedrze Elektrotechniki w Szkole Politechnicznej we Lwowie. Jak wspomina jego były asystent Jacek Przygodzki, prof. Politechniki Warszawskiej, prof. Drewnowski uważał swój lwowski okres pracy za szczególnie ważny. Twierdził, że jego prace naukowe, dydaktyczne i prace nad słownictwem elektrycznym miały swój początek we Lwowie, a dalsza jego działalność na Politechnice Warszawskiej była już tylko ich kontynuacją. W 1908 r. współorganizował Sekcję Elektrotechniczną Towarzystwa Politechnicznego we Lwowie, której następnie przewodniczył. Zorganizował w Towarzystwie Politechnicznym Komisję Słownictwa Elektrycznego. W 1910 r. na V Zjeździe Techników Polskich we Lwowie postulował ujednoczenie polskiej terminologii w zakresie elektrotechniki. W latach 1911–14 był również profesorem elektrotechniki w Lwowskiej Szkole Przemysłowej. W tym okresie uprawiał też intensywnie tańcernictwo.

Należał od 1910 r. do Związku Strzeleckiego, 16 VIII 1914 r. wstąpił do Legionów Józefa Piłsudskiego, gdzie organizował



szkołę łączności i brał udział w walkach w Karpatach Wschodnich. Odkomenderowany w 1916 r. do Politechniki Warszawskiej, został w niej pierwszym wykładowcą elektrotechniki i zorganizował pierwsze laboratorium miernictwa elektrycznego.

12 IX 1918 r. K. Drewnowski został mianowany Szefem Służby Łączności Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. Zorganizował Inspektorat Łączności Ministerstwa Spraw Wojskowych. Stworzył wojska łączności WP, założył Obóz Szkoleniowy Oficerów Łączności w Zegrzu. Brał udział w 1919 r. w wojnie polsko-bolszewickiej.

W 1919 r. był współorganizatorem i członkiem pierwszego Zarządu Stowarzyszenia Elektrotechników Polskich (w 1924 r. zmieniono nazwę na Stowarzyszenie Elektryków Polskich), kierował w nim pracami Centralnej Komisji Słownictwa Elektrycznego i wydaniem pięcioletniego słownika obejmującego ok. 5000 pojęć. W 1938 r. doprowadził

do powstania działu elektrotechnicznego w słowniku Akademii Nauk Technicznych.

Od lipca 1922 r. był organizatorem i kierownikiem Szkoły Głównej Artylerii i Inżynierii w Warszawie. Po jej zorganizowaniu w 1923 r. został ponownie oddelegowany do PW (a w 1926 r. przeniesiony do rezerwy). Był współtwórcą Wydziału Elektrycznego PW. Został kierownikiem utworzonej w 1922 r. Katedry Miernictwa Elektrycznego, a w 1923 r. mianowany prof. zwyczajnym. Zainicjował budowę oddanego w 1934 r. oddzielnego gmachu z halą do badań wysokonapięciowych. Stanowiła ona zaczątek planowanego przez prof. Drewnowskiego ogólnopolskiego laboratorium przeznaczonego do prac badawczych nad nowymi rozwiązaniami aparatury wysokiego napięcia dla energetyki i przemysłu.

Był współinicjatorem powstania Polskiego Komitetu Oświetleniowego, Polskiego Komitetu Wielkich Sieci Elektrycznych oraz Polskiego Komitetu Elektrotechnicznego (sprawował funkcję sekretarza generalnego i przewodniczącego). Był także wiceprezesem Conseil international des grands réseaux électriques oraz wiceprezesem International Electrotechnical Commission.

W latach 1928/29, 1933/34 był dziekanem Wydziału Elektrycznego. W 1939 r. został wybrany na stanowisko rektora PW. Pełnił tę funkcję konspiracyjnie również w czasie wojny. Wykorzystując zachowane częściowo laboratoria politechniki organizował tajne studia. Wchodził w skład Centralnego Komitetu Organizacji Niepodległościowych, organizował pomoc dla środowisk twórczych. Do połowy 1942 r. był członkiem komisji rewizyjnej Komendy Głównej Związku Walki Zbrojnej, później Armii Krajowej. W ramach akcji Himmlera, mającej na celu wyniszczenie polskiej inteligencji, 11 IX 1942 r. został aresztowany wraz z wieloma intelektualistami (przeszedł Pawiak, Majdanek, Dachau). W Dachau rozpoczął pisanie pracy *Uniwersalny przyrząd do pomiaru wysokich napięć*. Prof. Drewnowski wraz z dwoma więźniami uruchomił przechowywaną konspiracyjnie radiostację, wymontowaną z rozbitego samolotu. Dzięki nadaniu przez nią wiadomości desant amerykański wcześniej wyzwolił Dachau i uratował życie wielu więźniom, którzy mieli być „zlikwidowani”. Po opuszczeniu obozu, w 1945 r. wszedł w skład Polskiego

Komitetu Narodowego i został kierownikiem Wydziału Naukowego. Zorganizował w Belgii Ośrodek Studiów Wyższych dla Polaków.

Prof. Kazimierz Drewnowski w 1947 r. wrócił do Warszawy i został kierownikiem Zakładu Miernictwa Elektrycznego PW. Odbudował laboratoria, doprowadził je do stanu przedwojennego oraz wyposażył w mierniki najwyższych klas.

Jego dorobek naukowy obejmuje około 100 publikacji, w tym kilka podręczników oraz monografii. Jeden z najwybitniejszych profesorów PW. Był twórcą trzech polskich szkół naukowych z zakresu: techniki wysokich napięć, miernictwa elektrycznego i materiałoznawstwa elektrycznego. Był promotorem największej liczby doktoratów elektryków w okresie międzywojennym w Polsce (S. Dunikowski, S. Szpor, J.L. Jakubowski, J. Skowroński). W okresie międzywojennym na politechnikach Lwowskiej i Warszawskiej obroniono łącznie 8 prac doktorskich z elektrotechniki, a promotorem 4 był prof. Drewnowski. Autor wielu publikacji naukowych w „Przeglądzie Elektrotechnicznym”, „Archiv für Elektrotechnik” i „Czasopiśmie Technicznym”. Niektóre z nich miały charakter pionierski, na przykład publikacje o przepięciach i pomiarach wysokonapięciowych. Opracował pierwsze polskie przepisy i normy dotyczące pomiarów wysokiego napięcia oraz jakości mas kablowych i olejów izolacyjnych. Wynałazł oryginalną metodę kompensacyjnego badania rozkładu pola elektrycznego, nazwaną metodą Drewnowskiego.

Miał wielu wychowanków, kilku z nich zostało profesorami polskich politechnik: Warszawskiej (J.L. Jakubowski), Gdańskiej (S. Szpor, S. Trzetrzewiński), Wrocławskiej (J. Skowroński), Śląskiej (T. Stępniewski), Łódzkiej (W. Iwaszkiewicz) oraz AGH (S. Bładowski).

Został uhonorowany licznymi odznaczeniami, m.in. Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, Orderem Virtuti Militari V klasy, Krzyżem Niepodległości, Krzyżem Walecznych, Krzyżem Legii Honorowej IV klasy.

Co roku udawał się w Tatry. Zmarł nagle 22 VIII 1952 r. podczas pobytu w Zakopanem i tam jest pochowany wraz z żoną Heleną, na zabytkowym cmentarzu na Pęksowym Brzyzku.

Apel do Czytelników

ROMAN ŻUROWSKI

Przed ponad rokiem otrzymaliśmy z Kanady list od p. Andrew (Andrzeja) Kopczyńskiego i dotychczas nań nie odpisaliśmy. Przepraszamy, ale wynikało to z naszych trudności czasowo-personalnych.

Dopiero więc obecnie prezentujemy arcydziełką postać p. Romana Żurowskiego, niezżyjącego od dawna. Byłoby miło, gdybyśmy mogli otrzymać zdjęcia R. Żurowskiego i opisy jego dokonań.

Niniejszy apel wysłaliśmy do Kanady drogą mailową, spodziewając się rychłej odpowiedzi.

Roman Żurowski urodził się w 1913 r. we Lwowie, tam też skończył gimnazjum i liceum. Po II wojnie światowej Roman wraz z żoną Fryderyką przybyli do Vancouver. Roman Żurowski był architektem, kwestarzem i budowniczym Domu Polskiego PT „Zgoda” oraz jego wieloletnim prezydentem. To jest największy Dom Polonijny nad Pacyfikiem. W latach 60. i 70. XX w. stworzył także Polsko-Kanadyjski Zespół Pieśni i Tańca, który występował w wielu miastach Kanady i USA z okazji świąt narodowych i rocznic (kanadyjskich i polskich).

Roman Żurowski był niezwykłą postacią, bez wątpienia największym Polakiem-Kanadyjczykiem, jakiego mieliśmy w Vancouver. Na zawsze wszedł do historii naszego miasta. Myślę, że warto by było Go dodać do grona wybitnych Polaków-Lwowiaków. W przyszłym roku przypada 25. rocznica Jego śmierci. Nie miał własnych dzieci, polonijne dzieci i młodzież były Jego dziećmi. Był sercem i duszą Koła Młodzieży w Vancouver, dyrektorem wszystkich występów, organizatorem funduszy i opiekunem w czasie wyjazdów.

Roman Żurowski jest już postacią historyczną, opisaną w dwóch polskich książkach wydanych w Vancouver w angielskiej wersji językowej. Jednak nieustannie przybywają nowe informacje i zdjęcia.

Redakcja Kwartalnika
„Cracovia–Leopolis”, Kraków.

Adres mailowy Pana Andrew Kopczyńskiego:
kopczy@telus.net

Anna Madej

Najstarszy dominikanin w Polsce

Dziesięć lat temu (w nr. 4/2005) pisałam o uroczystości 60-lecia kapłaństwa dwóch synów Ziemi Tarnopolskiej – o Alberta Mieczysława Krąpca i o. Reginalda Stanisława Wiśniowskiego. Ojciec Albert zmarł w maju 2008 r. Jego współbrat w zakonie Dominikanów doczekał kolejnego jubileuszu – 70-lecia kapłaństwa. Mało kto dożywa tak sędziwego wieku (95 lat) i takiego jubileuszu! Ojciec Reginald jest najstarszym dominikaninem w Polsce. Przypomnijmy krótko drogę życiową Jubilata.

Ojciec Reginald urodził się w 1920 r. w Czortkowie w wielodzietnej rodzinie, miał dziesięcioro rodzeństwa, nikt z nich już nie żyje. Pięcioro z nich wybrało służbę Bogu. W lipcu 1939 r. (po maturze w czortkowskim gimnazjum) wstąpił do zakonu Dominikanów w Krakowie i 17 czerwca 1945 r. (razem z o. Albertem Krąpcem) otrzymał święcenia kapłańskie. Przez następne 11 lat pracował w krakowskim klasztorze jako opiekun kleryków, potem ta sama funkcja przez 10 lat w Poznaniu. Jednak marzeniem o. Reginalda była praca misyjna i to marzenie spełniło się. W 1970 r. został kierownikiem referatu kaznodziejskiego w Warszawie (kierował na misje i rekolekcje). „Jako misjonarz-rekolekcyjista jeździł po całej Polsce, wygłaszając kazania, prowadząc rekolekcje i misje. Jak odnotował, w niektórych latach miewał prawie osiemset kazań rocznie. Zdarzały się sytuacje, że po jego kazaniach do spowiedzi przychodzili ludzie po kilkunastu latach nieobecności w Kościele” (Dziennik Polski, 4 stycznia 2007).

Gorbaczowska pierestrojka pozwoliła ojcu Reginaldowi wyjechać na Ukrainę. W 1987 r. trafił do Murafy w obwodzie winnickim, gdzie kościół był czynny przez



cały okres komunizmu. W 1989 r. udało mu się wrócić do rodzinnego Czortkowa. Kościół w Czortkowie, wybudowany przed I wojną światową w stylu gotyku nadwiślańskiego według projektu Jana Sas-Zubrzyckiego nie miał takiego szczęścia. Zamknięty w 1946 r. i zamieniony na magazyn ulegał coraz większemu zniszczeniu. Przed o. Reginaldem stało więc trudne zadanie wyremontowania kościoła. Udało się to i w 1995 r. kościół został ponownie konsekrowany. Przez cały okres pobytu w Czortkowie o. Reginald prowadził „pracę ewangelizacyjną od podstaw w środowisku ludzi niemających kontaktu z religią od dziesiątków lat. Wielogodzinne spowiedzi, liczne msze, nauki, organizowanie życia parafii, sakralizowanie związków małżeńskich zawartych przed laty, chrzty dzieci itd. Inne pobliskie wspólnoty katolickie również odzyskiwały swoje kościoły, więc ojciec Reginald odprawiał każdej niedzieli 5–6 mszy świętych w okolicznych miejscowościach. – Wyjeżdżałem rano, wracałem wieczorem, praca była ciężka, ale dawała satysfakcję – mówi” (Dziennik Polski, 4 stycznia 2007).

Jeszcze jednym ważnym dokonaniem o. Reginalda była ekshumacja 8 ojców i braci zakonnych zamordowanych przez NKWD 2 lipca 1941 r. W 50. rocznicę ich męczeńskiej śmierci ciała zostały ekshumowane ze wspólnej mogiły nad Seretem i uroczyście pochowane w dominikańskiej kaplicy cmentarnej. Obecnie toczy się ich proces beatyfikacyjny.

W życiu o. Reginalda Pan Bóg postawił na jego drodze innych wielkich kresowych współbraci (o. Joachim Badeni, o. Adam Stuziński, o. Albert Krąpiec), ale o. Reginald chwali się przede wszystkim tym, że: „Zetknąłem się w swoim życiu z trzema osobami, które trafiły lub trafią na ołtarze. Pierwszym był mój magister nowicjatu bł. o. Michał Czartoryski, drugim kierownik studiów o. Jacek Woroniecki, dziś kandydat na ołtarze. Trzecim – św. ojciec Pio, z którym spotkałem się w San Giovanni Rotondo w latach 60”.

Uroczysta msza św. koncelebrowana przez współbraci Dominikanów miała miejsce równo w 70 lat po tej, na której udzielono mu święceń kapłańskich. Nowy przeor klasztoru o. Piotr Ciuba wygłosił homilię, w której podkreślił wierność – wierność Chrystusowi. Ojciec Reginald był i jest wiemy i oby Pan Bóg pozwolił Mu jeszcze długo o tej wierności świadczyć.

Bernard Klyszejko

Dziękuję ci, Profesorze

Po 50 latach pracy zawodowej prof. zw. dr hab. Remigiusz Węgrzynowicz, organizator i wieloletni kierownik Zakładu Fizjologii Ryb, prodziekan Wydziału Rybackiego w latach 1966–1967, rektor Uczelni w kadencji 1990–1993 – przeszedł na emeryturę.

Urodzony we Lwowie w 1922 roku, w okresie szkolnym był aktywnym członkiem ZHP. W roku 1939 uczestniczył w walkach o Lwów w Kampanii Harcerskiej. W czasie okupacji, w roku 1940, złożył egzamin dojrzałości w XI Gimnazjum, a następnie podjął studia w Akademii Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie. Przetrawienie w okupowanym Lwowie umożliwiło mu podjęcie roli karmiciela wszy (na własnej krwi) w produkcji szczepionki przeciwtyfusowej w Instytucie Weigla, później Behringa.

W roku 1945 uzyskał absolutorium i wyjechał w ramach ekspatriacji do kraju. We wrześniu 1945 r. podjął pracę na stanowisku asystenta, później starszego asystenta na Wydziale Medycyny Weterynaryjnej Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu. Brał udział w organizowaniu od podstaw Zakładu Botaniki pod kierunkiem prof. Janowskiego, prowadził zajęcia z I powojennym rokiem studentów, kontynuując równocześnie 3. rok studiów lekarskich. W styczniu 1946 roku otrzymał dyplom lekarza weterynarii na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. W latach 1947–1950 organizował od podstaw 3 zakłady lecznicze dla zwierząt (Stubice, Międzyzdroje, Szczecin) oraz Pracownię Mikrobiologii Żywnościowej w Szczecinie. W okresie tym pełnił funkcję powiatowego lekarza weterynarii oraz kierownika lecznic. Jako lekarz-praktyk, na podstawie materiału klinicznego opracował metody lecznicze: chirurgiczne, farmakologiczne oraz pionierskie nad włoskowcem różycy u ryb. W roku 1950 został powołany do służby wojskowej na stanowisko higie-

nisty armii, pełniąc nadzór nad środkami spożywczymi pochodzenia zwierzęcego. W tym okresie publikował w wojskowych wydawnictwach oryginalne prace naukowe (m.in. *Wpływ odmy czaszkowej i hialuronidazy na stężenie penicyliny w płynie mózgowo-rdzeniowym*), notaty z praktyki oraz higieny produktów spożywczych pochodzenia zwierzęcego. W roku 1954 powrócił na Wydział Medycyny Weterynaryjnej WSR we Wrocławiu na stanowisko adiunkta w Katedrze Fizjologii, a później w Katedrze Farmakologii. W roku 1959 uzyskał stopień doktora medycyny weterynaryjnej (na podstawie pracy pt. *Zmiany hemodynamiczne pod wpływem histaminy w narkozie i bez narkozy*), a w roku 1965, po habilitacji (tytuł pracy *Neurohormonalna regulacja ukrwienia żwacza*), otrzymał stopień i stanowisko docenta z zakresu fizjologii i farmakodynamiki. W roku 1975 uzyskał tytuł profesora nadzwyczajnego, a w 1987 tytuł profesora zwyczajnego.

W 1966 roku przeniósł się do Szczecina włączając się w organizowanie Wydziału Rybackiego z Olsztyna w strukturę Wyższej Szkoły Rolniczej w Szczecinie. Organizował Katedrę Fizjologii Ryb, pełniąc jednocześnie funkcję prodziekana i wiele innych funkcji społecznych.

Profesor Węgrzynowicz jest autorem około 120 prac eksperymentalnych i około 60 artykułów.

Uczestniczył w licznych kongresach i konferencjach krajowych i międzynarodowych, m.in. w USA, Wielkiej Brytanii, na Węgrzech, w Austrii, Danii, Szwecji, Francji. Wyniki jego badań są cytowane i publikowane w książkach i w renomowanych czasopismach krajowych oraz zagranicznych.

Działalność naukową poświęcił głównie fizjologii porównawczej i farmakodynamicie układu krążenia zwierząt domowych, później zmianom fizjologicznym zachodzącym pod wpływem zmian środowiska zwierząt wodnych. Rezultaty badań przedstawiano w podręcznikach krajowych i zagranicznych (m.in. praca filmowa *Przetoka worka osierdziowego* – wsp. Dejneka i Zięba, umożliwiająca w doświadczeniach chronicznych badanie naczyń wieńcowych serca, wyróżniona na Światowym Kongresie Fizjologicznym w Buenos Aires, zamieszczona w światowym katalogu filmów naukowych).

Metodą operacyjną w doświadczeniach chronicznych udokumentował w obrazie filmowym dynamikę ryńki przelykowej u przeżuwaczy, opracował metody badania krążenia mózgowego oraz żwacza przy zastosowaniu protez ekstrakorporacyjnych w badaniach fotohemotachometrycznych. Dzięki zastosowanej metodzie odkrył zjawisko spontanicznej dylatacji w krążeniu żwaczowym zwierząt cennych gospodarczo.

Badania procesów fizjologicznych u ryb stanowią wieloletni etap działalności Profesora. Zmiany zachodzące w organizmach ryb na tle zmienności środowiska (hematologiczne, kardiologiczne, EKG, behawioralne i inne wsp. z Kłyszajką, Głębocką, Muzykiewiczem, Cybulską), badania cytochemiczne, antygenów komórkowych ABO oraz Rh- i inne (wspólnie z Nowakiem) prezentowane na kongresach i konferencjach. Badania nad stresem u ryb (poziomu katecholaminy, antystresorów, neuropato-mechanizmu) wspólnie z Kłyszajką, Gorczyńską i in. prezentowane na międzynarodowych kongresach fizjologicznych w Budapeszcie 1980 r., Sydney 1983 r., a następnie wspólne badania nad wpływem pola magnetycznego na zmiany we krwi, procesie oddychania komórkowego w mitochondriach, GPT w mięśniach i In. Prezentowane na kongresach i konferencjach krajowych i międzynarodowych, są cytowane i publikowane w renomowanych czasopismach zagranicznych.

Trudno pominąć aktywność Profesora we współpracy międzynarodowej nad upowszechnianiem nowoczesnych technik audiowizualnych podnoszących poziom dydaktyczny i oszczędzających znaczną liczbę zwierząt.

Publikacje z praktyki lekarsko-weterynaryjnej (metody lecznicze, oceny leków) przeplatają się z działalnością naukową. Problemy etyki w zawodzie lekarza weterynarii, organizacji szkolnictwa – to działalność popularyzatorska zamieszczana w wielu czasopismach.

Za działalność naukową Profesor otrzymał wiele wyróżnień i nagród (m.in. dwie nagrody ministra edukacji narodowej, liczne – towarzystw naukowych i uczelni). Wyróżniony też dyplomem oraz zamieszczony został w edycji 1980/1981 *Who's Who in the World*. W dorobku dydaktycznym ma znaczny udział w kształceniu wielu pokoleń lekarzy weterynarii, inżynierów rolników, zootechników i rybaków. Pod jego kierunkiem wykonano 7 prac doktorskich i jedną pracę habilitacyjną.

Wiedzą i umiejętnością służył i służy społeczeństwu, biorąc także udział w działal-

ności towarzystw naukowych i społecznych. Pełnił liczne funkcje, m.in. prezesa Polskiego Towarzystwa Fizjologicznego w Szczecinie (3 kadencje), prezesa Stowarzyszenia Filmu Naukowego we Wrocławiu, prezesa Polskiego Towarzystwa Nauk Weterynaryjnych w Szczecinie, założyciela i wieloletniego prezesa Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami w Szczecinie i także prezesa Towarzystwa Miłośników Lwowa.

Ta różnorodna i wielopłaszczyznowa, w największym skrócie ujęta, działalność Profesora zyskała uznanie, czego wyrazem są liczne nagrody i odznaczenia, z których Profesor najwyższej sobie ceni: Krzyż „Polonia Restituta”, Krzyż Obrony Lwowa, najwyższe odznaczenie harcerskie – Złoty Krzyż z Mieczami ZHP, najwyższe odznaczenie Izraela – Sprawiedliwy wśród Narodów Świata, medale za udział w wojnie.

Spółeczeństwo naszej uczelni dało wyraz swojego zaufania i uznania, powierzając Profesorowi funkcję rektora w pierwszych wolnych wyborach w 1990 roku na okres trzech lat. Jako rektor prof. Węgrzynowicz zyskał sympatię i uznanie pracowników, za dbałość o utrzymanie Uczelni w nuncie akademickim i oddanie sprawom jej rozwoju.

Od siebie pragnę dodać na podstawie wieloletniej współpracy, że Profesor dużą wiedzę łącząc z rozległym doświadczeniem i zainteresowaniem sprawami ważnymi, mając zawsze coś istotnego do powiedzenia w dziedzinie naukowej, w której się specjalizuje. Potrafi widzieć przy tym rzeczy w ich całej złożoności i szerokim kontekście. Jeśli do tego dodam, że cechuje Go głęboki humanizm, prawość charakteru oraz wysoka kultura bycia, to i tak nie oddam w pełni zalet i przymiotów Profesora oraz zaszczytu, jakiego się doznaje, należąc do grona Jego bliskich współpracowników.

Mam nadzieję, że przejście Profesora na emeryturę nie zmniejszy Jego aktywności naukowej i zainteresowania sprawami Wydziału i Uczelni.

Dr hab. Bernard Kłyszczewo, prof. AR w Szczecinie, Kierownik Zakładu Fizjologii Ryb

Artykuł został napisany prawdopodobnie w 1995 roku, a więc 20 lat temu. Profesor Węgrzynowicz nadal jest aktywny i nadsyła nam swoje ciekawe teksty do publikacji w CL.

Barbara Litwiniuk

Jerzy Litwiniuk – tłumacz i poeta

Urodził się 30 marca 1923 r. w Krzemieńcu na Wołyniu. Jego ojciec Jan był bankowcem, a matka Kazimiera lekarką. W związku z wybuchem II wojny światowej naukę kontynuował na tajnych kompletach. W 1942 r. zdał maturę, w latach 1943–44 podjął studia historyczne na tajnym Uniwersytecie Warszawskim. Kontynuował je kilka lat później, po wojnie, na UW i KUL uzyskując absolutorium w 1952 roku.

Od 1940 r. zaangażował się w działalność konspiracyjną w Komendzie Obrońców Polski, potem w Związku Walki Zbrojnej, a potem w Armii Krajowej. W 1944 roku ukończył Kurs Podchorążych w Lublinie i otrzymał przydział do Szarych Szeregów jako drużynowy Bojowych Szkół. Po aresztowaniu stał się jeńcem Specplagru nr 179 w Diagilewie koło Riazania (lata 1944–1947). Do kraju wrócił w 1947 r. i zamieszkał w Warszawie.

Pracował w wydawnictwach i redakcjach wielu czasopism. W 1949 r. zadebiutował jako tłumacz poezji radzieckiej, a następnie przez kilkadziesiąt lat tłumaczył i drukował utwory literackie z 8 języków: rosyjskiego, fińskiego, łotewskiego, ukraińskiego, białoruskiego, francuskiego, a nawet gómołużyckiego. Znane mu są także języki czeski i słowacki. W wydawnictwie „Czytelnik” pracował jako etatowy pracownik działu tłumaczeń. Tłumaczenia ukazywały się w zbiorach wspólnych lub indywidualnych. Publikował też utwory własne. Liczne przekłady z języka rosyjskiego i fińskiego od 1959 r. publikowane były w czasopiśmie specjalistycznych dotyczących literatury. W 1976 r. był sygnatariuszem „Memoriału 101” przeciw zmianom w konstytucji.

Jest członkiem ZAIKS, ZLP, PEN-Clubu i in. Otrzymał kilka odznaczeń i nagród państwowych i resortowych krajowych i zagranicznych.

W latach 50. XX wieku ożenił się z Barbarą Bohm, lwowianką i sybiraczką, z wykształcenia historyczką, z zawodu bibliotekarką. W 1960 roku urodził się im syn Łukasz (mgr inż. elektryk).

Jerzy Michał Bożyk

Barbara i Marian

Jeszcze w czasach komunistycznego reżimu ukazał się pierwszy po wojnie *Śpiewnik Lwowski* pod redakcją Janusza Wasylkowskiego, w którego przedmowie padło zdanie, iż dialekt lwowski – bałak – należy do języków martwych, tak jak łacina czy starożytna greka, chociaż skądinąd wiele typowych dlań elementów odnaleźć można np. w dialekcie ziemi przemyskiej bądź w dialektach wschodniosłowackich (szariszskim i zemplirskim). Jednak fakty temu przeczą. W bałak da się tchnąć nowe życie. Piękny przykład daje nam duet aktorsko-wokalny: Barbara i zmarły w roku 2007 Marian Starscy.

Barbara – z krwi i kości krakowianka (pochodząca ze znanego krakowskiego rodu Świętochowskich) – sama siebie określa, jako *zarażoną miłością do Lwowa*. Obdarzona wspaniałym słuchem i pamięcią muzyczną – już w szkole podstawowej, a później w Technikum Księgarskim śpiewała w chórach szkolnych (obecnie śpiewa w chórze „Harfa” Ojców Karmelitów na Piasku). Po maturze pracowała wiele lat jako bibliotekarka, aż nagle w roku 1987 nastąpił zwrot w jej życiu kierujący Barbarę na tory działalności wyłącznie artystycznej – małżeństwo z lwowianinem z dziada pradziada – krakowskim aktorem Marianem Styrskim.

Marian po wojnie – od najmłodszych lat – mieszkał w Krakowie. Debiutował na scenie Ojców Jezuitów przy ulicy Kopernika, gdzie od 6 do 26 roku życia służył do mszy św. Wykształcenie aktorskie zdobył w Studium Dramatycznym Marii Rokoszewej, potem przez długi czas prezentował się na deskach Teatru Bagatela (noszącego w międzyczasie nazwy Teatru Młodego Widza i Teatru Rozmaitości).

Gdy w 1994 roku małżonkowie przenieśli się do Staszowa*, wkrótce Marian założył tam własny teatr pod nazwą Teatr Małych Form, który 13 listopada 1997 zarejestrowany został jako Stowarzyszenie Społeczne „Teatr

Rozmaitości”, gdzie pełnił funkcję dyrektora, Barbara zaś występowała w reżyserowanych przezeń sztukach jako aktorka śpiewająca. Aż do momentu przenosin do Połańca. Mimo posiadania mieszkania w Połańcu Barbara i Marian częściej przebywali w Krakowie, w wynajętych mieszkaniach, prowadząc intensywną działalność aktorsko-wokalną. Występowali wówczas niemal w całym kraju, gdzie Marian prezentował wspaniałą sztukę recytatorsko-narratorską. Oboje perfekcyjnie raczyli odbiorców sztuką dialogu.



Już od okresu spektakli w Staszowie i Połańcu duetowi akompaniowali: wirtuoz fortepianu, multiinstrumentalista i kompozytor Andrzej Hawrylak (tworzący równocześnie ilustrację muzyczną do całości programów), Małgorzata Kowalska, Wiesław Gertner, a do spektakli o tematyce lwowskiej – autor niniejszego artykułu, śpiewający również lwowskie piosenki, Barbara zaś często śpiewała a capella. Scenariusze do swych poetycko-muzycznych spektakli układali małżonkowie wspólnie. Wszystkie one zachowały się w formie pisemnej. Warto wymienić tytuły i treść niektórych:

– *Jak kromka chleba* – z okazji 10-lecia śmierci ks. kardynała Stefana Wyszyńskiego (rzecz dzieje się w Komańczy, w czasie jego internowania w klasztorze sióstr Nazaretanek);

– *Jeszcze słyhać śpiew i rzenie koni* oraz *Szli, krzycząc: Polska, Polska* – poświęcone odzyskaniu niepodległości Polski 11 XI 1918 roku;

– *Trochę wiosny jesienią* i *Dawnych wspomnień czar* – koncerty poetycko-muzyczne w repertuarze przebojów retro;

– *Dłonie najcichsze* – poświęcone Najświętszej Marii Pannie;

– *Kłęcząc przed krzyżem* – program włączony w rekolekcje wielkopostne;

– *Był taki czas* – o kampanii wrześniowej i powstaniu warszawskim;

– *Szeregami lwowskie dzieci* – nawiązujący do obrony Lwowa w roku 1918,

– *Moje serce zostało we Lwowie* – wieczerz poezji i piosenki o Lwowie;

– *Mówiłeś nam słowa wieczne* – po śmierci Ojca św. Jana Pawła II.

W roku 2006 duet zdobył pierwszą nagrodę w kategorii grup wokalnych na IV Małopolskim Przeglądzie Pieśni Patriotycznej.

Niezależnie od działalności twórczej Marian Styrski intensywnie udzielał się społecznie jako członek Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich i Fundacji Piłkarskiej Reprezentacji Polski. Zmarł tragicznie w wyniku nieudzielenia mu właściwej pomocy w Połańcu w listopadzie 2007 roku.

Po jego odejściu Barbara wróciła na stałe do Krakowa, gdzie współpracowała i współpracuje do dziś z piszącym te słowa. Występowała w Teatrze Słowa i Tańca Jadwigi Klimowicz, obecnie pracuje w prowadzonym przez Sławę Bednarczyk Teatrze „Stańczyk” oraz w prowadzonym przez Andrzeja Szwalca i autora tegoż artykułu „Kabarecie nie bardzo Starszych Pań i Panów im. Majki Chwali” w Nowym Bieżanowie. Kilkakrotnie występowała w Cafe Molier. Wraz z autorem tych słów występuje w Piwnicy Pod Baranami, Pracowni Pod Baranami, licznych domach kultury i domach pomocy społecznej, Cafe Kabaret, Kawiarni Lwowskiej, pubie „Zaraz Wracam” w programach *Czas wspomnień* i *Ale serca nie zabrali* oraz stała w pubie „Awaria” ze znanym krakowskim trębaczem i improwizatorem wokalnym Andrzejem Marchewką i piszącym te słowa. Towarzyszy im gitarzysta Wojciech Serafin i do niedawna śp. Marek Michalski. Współpracuje z nimi również lwowianin – wokalista Stanisław Malawski, który prezentuje się także w bieżanowskim kabarecie wraz z kolejną rodowitą lwowianką – Jadwigą Baran. Barbara współpracuje także z XXX Liceum Ogólnokształcącym.

W ramach Festiwalu Piosenki Lwowskiej i Lwowskiego Bałaku Barbara Styrska uży-

wała w latach 2011, 2012 i 2013 wyróżnienia Fundacji „Solidarność Wschód” za propagowanie kultury kresowej:

Spyta może ktoś, jaki sens ma animowanie czy nawet „reanimowanie” elementów kultury miasta, które od ponad pół wieku nie należy do Polski? Po pierwsze – dla ocalenia naszego dziedzictwa kulturowego i jego wzbogacania. Po drugie – można tu przywołać słowa znanego publicyisty Wiesława Górnickiego, który już w roku 1979 na spotkaniu z młodzieżą w „Soczewce” przewidział upadek komunizmu, ujmując to mniej więcej tak: *ustroje społeczne i układy geopolityczne ulegają ciągłym zmianom, imperia padają, a gdyby jakaś taka zmiana nastąpiła* (znana piosenka lwowska wyraża to słowami: *że kiedyś śrubeczka przekreśli się jakaś* – przyp. JMB), *to zadaniem młodych jest tak działać, aby było z czego odbudowywać...*

* z uwagi na stan zdrowia Mariana, niepozwalający na oddychanie tutejszym powietrzem



Herb Lwowa odwzorowany trójwymiarowo przez B. Styrską z obrazka wielkości znaczka pocztowego do rozmiarów 100x80 cm. Użytkowany jako dekoracja na imprezach lwowskich

Książki czasopisma

Nowe książki

📖 **Prof. Jerzy Kowalczyk** przedłożył nam do omówienia kolejne trzy tomy – XIII do XV – swojej wielotomowej pracy, zatytułowanej **Historia szkolnictwa, oświaty i wychowania na ziemiach odłączonych II RP – Kresach Południowo-Wschodnich**. Tomy ww. *Historii*, będące monografiami szkół lwowskich, są publikowane* w Krakowie od r. 2002, a zapewne daleko im jeszcze do zakończenia. Na końcu podajemy spis szkół, opracowanych dotąd (2015)**.

O pracy prof. J. Kowalczyka pisaliśmy ostatnio w CL 4/2013, gdy omawialiśmy jego opracowanie dotyczące Politechniki Lwowskiej (tom XI). Warto przypomnieć, że praca prof. Kowalczyka pomija w zasadzie historię kolejnych szkół – średnich i wyższych – ale w jakimś sensie uzupełnia znajomość tej historii w szczegółach. Wczytując się w przedmowę, otrzymujemy wyjaśnienie, że omawiana tu praca dotyczy programów nauczania, zawartych w dokumentach archiwalnych, znalezionych w kilku archiwach. Są to więc kopie bogatego zasobu papierów i dobranej literatury, dotyczących rok po roku programów, spisów przedmiotów, wykładów i wykładowców lub nauczycieli, statystyk dotyczących studentów bądź uczniów, regulaminów itd. *Curriculum vitae* to podstawowa część opracowania w ramach każdego tomu.

Przechodząc do kolejnych tomów, wchodzimy do tomu XIII: *Akademia Medycyny Weterynaryjnej*. Uczelnia ta działała w latach 1881–1938/39, a została założona na wniosek Sejmu Galicyjskiego, pierwotnie jako ck Szkoła Weterynaryjna. Uczelnia mieściła się pierwotnie przy ul. Kochanowskiego, a w 1937 r. otrzymała b. pałac Turkulów-Comello przy ul. Piekarskiej. W ostatnim roku przed II wojną AMW liczyła 17 katedr i szereg laboratoriów.

Treść tomu obejmuje na 670 stronach (format B5 – jak wszystkie) przede wszyst-

kim *curriculum vitae* uczelni – są to kopie wszelkich odnalezionych dokumentów. Następnie 3 istotne aneksy: 1. spisy treści 16 tomów *Rozpraw biologicznych AMW* (1923–1938); 2. *Rozwój działalności Szkoły Weterynaryjnej*, autor: prof. Henryk Kadyi; 3. publikacje naukowe prof. H. Kadyi'ego. Na koniec załączono suplementy do trzech wcześniejszych tomów pracy prof. J. Kowalczyka.

Tom XIV to są w istocie dwa tomy, dotyczące dwóch etapów rozwoju wyższych szkół handlowych we Lwowie: tom XIV cz. 1: *Akademia Handlowa* oraz tom XIV cz. 2: *Wyższa Szkoła Handlu Zagranicznego we Lwowie*.

Akademia Handlowa działała pod tą nazwą w latach 1899–1921. Wcześniej, w 1844 r. powstała we Lwowie *Akademia Techniczna*, w której utworzono równoległy z technicznym – oddział handlowy. W 1996 r. powołano na tej bazie regularną ck *Wyższą Szkołę Handlową*, potem stała się ck *Akademią Handlową*, a w końcu, w 1916 r., już w Polsce, państwową *Akademią Handlową*.

Cały ten tom zawiera *curriculum vitae* Akademii Handlowej z lat 1899–1921, jedynie na końcu znalazł się suplement do wcześniejszych tomów VII, VIII, IX.

Część 2. tomu XIV dotyczy dalszego etapu rozwoju wyższego szkolnictwa handlowego we Lwowie. W r. 1922 lwowska AH „awansowała”, stając się *Wyższą Szkołą Handlu Zagranicznego* (WSHZ). Z pierwszego ustępu *curriculum vitae* dowiadujemy się, że celem owego „awansu” była potrzeba kształcenia zdolnych sił fachowych do handlu zagranicznego i służby konsularnej.

W r. 1937 uczelnia zmieniła nazwę na *Akademii Handlu Zagranicznego* (AHZ) i tak dotrwała do II wojny. Autor nie przedstawia materiałów dotyczących tego ostatniego, dwuletniego okresu.

Od siebie możemy dodać, że absolwenci WSHZ / AHZ zyskali bardzo dobrą pozycję w społeczeństwie lwowskim, a może i ogólnopolskim.

Tom XV różni się pod pewnymi względami od wyżej wymienionych. Jego tytuł brzmi: *Prywatne Gimnazjum ss. Bazyliańek*, dotyczy więc szkoły średniej, a nie uczelni, jak poprzednie. Opis tego tematu jest stosunkowo krótki, bo obejmuje (wraz

z aneksami) nieco ponad 1/4 całego tomu o 720 stronach. Istotne jest również to, że omawiany tekst jest napisany cyrylicą, w języku ruskim.

Pozostałe teksty to suplementy do wcześniej wydanych tomów XI, XII – UL (1 i 2), XII – UJK.

Omawiane gimnazjum zostało założone w r. 1905, a omówione zostało do roku 1926 (dalszych losów szkoły autor nie podał). Szkoła mieściła się przy ul. Supińskiego 17, a w 1925 r. oddano do użytku nowy budynek przy ul. Długosza 17. Bursa ss. Bazylianek znajdowała się przy ul. Potockiego 95.

Na koniec podajemy Czytelnikom wykaz wszystkich wydanych dotąd tomów *Historii szkolnictwa, oświaty i wychowania* (...).

tom I. Wyższa Szkoła Realna (1879–1921); II Szkoła Realna (1902–1921); XI Państwowe Liceum i Gimnazjum im. J.J. Śniadeckich (1922–1939); XII Państw. Lic. i Gim. im. S. Szczepanowskiego (1925–1939).

tom II. Prywatne Gimnazjum Humanistyczne im. H. Jordana (1909–1939).

tom III. III Państw. Lic. i Gim. im. S. Batorego (1867–1939).

tom IV. XIII Państw. Lic. i Gim. Królowej Jadwigi (1879–1939).

tom V. IV Państw. Lic. i Gim. Jana Długosza (1879–1939).

tom VI. II Państw. Lic. i Gim. im. Karola Szajnochy (1919–1939).

tom VII. Państwowe Szkoły Średnie w XIX i XX w.

tom VIII. Prywatne Szkoły Średnie w XIX i XX w.

tom IX. Szkoły Przemysłowe w XIX i XX w.

tom X. Państwowe Gimnazjum Akademickie (1779–1926).

tom XI. Politechnika Lwowska (1772–1939).

tom XII UL. Uniwersytet Lwowski (1819–1918).

tom. XII UJK. Uniwersytet Jana Kazimierza (1919–1940).

tom XIII. Akademia Medycyny Weterynaryjnej (1924–1939).

tom XIV/1. Akademia Handlowa (1899–1921).

tom XIV/2. Wyższa Szkoła Handlu Zagranicznego (1929–1938).

tom XV. Prywatne Żeńskie Gimnazjum ss. Bazylianek (1929–1938).

* Jako reprodukcja wydruku komputerowego.

** Należy rozumieć, że kolejność wymienianych szkół wynika z kolejności podejmowania opracowania przez autora. Podajemy je z pewnymi skrótami i uproszczeniami.

📖 W poprzednim numerze omawialiśmy tom V, a już prof. **Stanisław S. Nicieja** nadesłał nam tom VI: **Kresowa Atlantyda. Historia i mitologia miast kresowych** (Wydawnictwo MS, Opole 2015).

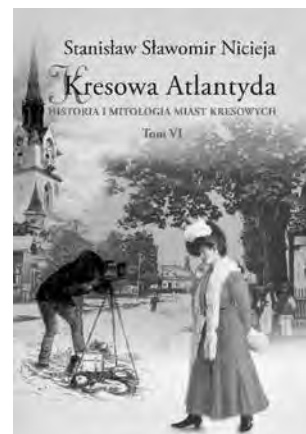
Tom obejmuje dwa rejony na dwóch skrajach województwa stanisławowskiego: od północy blisko Zagłębia Naftowego, przy granicy woj. lwowskiego powiatowy Stryj, oraz na południu, w powiecie kosowskim, przy samej (przedwojennej) granicy rumuńskiej: Kuty i Kniaże, oraz trzy mniej znane miejscowości: Rybno, Baniłów i Załucze.

Pochodzenie nazwy Stryj jest bardzo ciekawe i dotyczy rzeki, a dopiero od niej poszła nazwa miasta. Przedmiotową etymologię wy badał Henryk Hordt (wcale nie profesor), miłośnik swoich stron rodzinnych i turysta, a przy tym niezwykle erudyta. O nim i jego badaniach można przeczytać w jego książce *Piękno utraconej ziemi!*. Okazuje się, że pierwiastek „str” występuje w wielu językach indoeuropejskich (u nas: strumień, struga, Dniestr, Strwiąż, a także ostrów – wyspa na rzece).

Nad rzeką Stryj, która uchodzi do Dniestru, powstała osada, z czasem miasteczko, potem miasto o tej samej nazwie. Jego najdawniejsza historia sięga zapewne czasów Kazimierza Wielkiego, gdy objął on na nowo tę lędziańską niegdyś ziemię po trzech i pół wiekowym panowaniu ruskim.

Wracając do *Kresowej Atlantydy*: w książce roi się od osób, rodzin, zespołów ludzkich związanych z instytucjami czy szkołami. Z ludźmi wiążą się zdjęcia: jest ich około 200 (przy niespełna 300 stronach tekstu). A zamieszczenie w książce tych zdjęć poniekąd ratuje historię, bo wydobyli je z domowych lamusów starzy stryjnie, ich dzieci i wnuki.

Autor wymienia liczne wybitne postacie naszego czasu związane ze Stryjem. To przede wszystkim Kornel Makużyński, a także Julian Strykowski, Stanisław Wasylewski, Kazimierz



Wierzyński, profesor i premier Kazimierz Bartel i wiele, wiele innych osób i rodzin: Cabicarów, Messnerów, Praxmayerów, Wallischów. Autor pisze o nich wszystkich² oraz o ich losach po ekspatriacji.

Postacią szczególną jest niegdysiejszy wieloletni, zasłużony starosta stryjski Stanisław Harmata, lwowianin z urodzenia (1887–1939). Budował drogi i mosty, unowocześnił pobliskie uzdrowisko Morsztyn. Po wejściu 17 września '39 sowietów do Polski schronił się we Lwowie, jednak został tam aresztowany przez NKWD i rozstrzelany.

Drugą z szerzej omawianych – ważnych – miejscowości są Kuty nad Czeremoszem³, uważane za stolicę Ormian polskich. Dziś tam Ormian tyle co na lekarstwo, ale będąc na wycieczce w tamtych stronach przed laty spotkaliśmy w Kutach kilka wiekowych osób, m.in. – jak pamiętamy – starszkę p. Dawidowiczową.

Autor pisze o historii Ormian pokuckich, ich pochodzeniu i całkowitej polonizacji, o zasługach gospodarczych i wojennych dla Rzeczypospolitej. Przybyli tu przed tysiącem lat, a ich aktywność rozwijała się przez te wszystkie wieki, może szczególnie od czasów jagiellońskich. Miasto Kuty formalnie powstało z początkiem XVIII w. W połowie XIX w. liczba Ormian w Kutach wynosiła ok. 2,5 tysiąca. Kuty miały status uzdrowiska, było tam ponad 200 okazałych pensjonatów, willi i domów dla letników⁴.

Prof. Nicieja wymienia wiele nazwisk Ormian i rodzin ormiańskich z Kut (i nie tylko), których niestety coraz mniej, nie tylko tam w ich mateczniku, ale w Polsce i na świecie. Młodzi zawierają związki małżeńskie, ich dzieci nazywają się już często inaczej albo – dla zachowania tradycji łączą nazwiska – najlepszym przykładem ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski.

Wśród nazwisk tamtejszych niewątpliwie zasługuje na szczególną pamięć Żarugiewicz. Państwo Andrzej i Jadwiga Żarugiewiczowie mieszkali we Lwowie, mieli dwóch synów i dwie córki. Najstarszy 19-letni syn, Konstany, stanął do Obrony Lwowa w 1918 roku i zginął pod Zadwórzem. Jego ciała nie udało się zidentyfikować. Kiedy z początkiem lat 20. typowano Nieznanego Żołnierza do budowanego Grobu pod arkadami na Placu Saskim w Warszawie, zaproszono kilka matek nieodnalezionych bohaterów z całej

Polski. Wybór padł na trumnę ze zwłokami, którą wskazała intuicyjnie Pani Jadwiga Żarugiewiczowa. Jej symboliczny Syn pozostał na zawsze w warszawskim Grobie Nieznanego Żołnierza na Placu Saskim.

Trzecią z ważniejszych miejscowości omawianych przez Nicieję jest K n i a ż e nad Czeremoszem. Tamtejszy majątek z pięknym klasycystycznym dworem – spalonym przez banderowców w 1943 r. – należał do rodziny Jaruzelskich (dość dalekie pokrewieństwo ze znanym skądinąd generałem). Tam urodził się z matki Jaruzelskiej i spędził dzieciństwo Zbigniew Cybulski, niezapomniany aktor, swego czasu bożyszcze młodzieży. Drugi pień, z którego pochodził, to znana rodzina ormiańska Krzysztofowiczów.

Prof. Nicieja omawia dość wyczerpująco wymienione tu rodziny – genealogie i poszczególne osoby, ale przede wszystkim samego Zbyszka Cybulskiego.

Jeszcze sporo dalszych wiadomości daje nam autor o Kniażu oraz o wspomnianych na początku trzech innych jeszcze miejscowościach znad Czeremoszu, jednak zainteresowanych musimy odesłać do książki, bo trudno ją tu przepisywać, choćby w skrótach.

(AC)

1 W CL 1/2099, s. 43.

2 Były i negatywne postacie: Bandera czy „krwa-wa Luna” Brystygirowa.

3 Rzeką Czeremosz – dopływ Dniestru, stanowił granicę polsko-rumuńską.

4 O Kutach, Pokuciu i Ormianach publikowaliśmy artykuły kilkakrotnie w CL.

5 Syn S. Harmaty, Wincenty, profesor etologii i zoopsychologii na UJ, był przez szereg lat prezesem Koła Stryjan przy TMLiKPW w Krakowie.

📖 O tym wybitnym uczonym i niezwykłym człowieku wyszło wiele publikacji, a właśnie ostatnio ukazała się kolejna książka autorstwa **Ryszarda Wójcika** pt. **Kapryśna gwiazda Rudolfa Weigla** (wydały Fundacja Profesora Wacława Szybalskiego oraz Wydawnictwo Uniwersytetu Gdańskiego, Gdańsk 2015).

Przekazując książkę wybranym czytelnikom, przedstawiciele Fundacji dołączyli w formie listu krótkie, lecz wyczerpujące omówienie, które postanowiliśmy wykorzystać zamiast własnego.



[...] Wydając książkę autorstwa Ryszarda Wójcika, Fundacja pragnie przybliżyć postać tego wielkiego uczonego. Profesor Rudolf Weigl był Austriakiem z urodzenia, lecz Polakiem z wyboru; nigdy nie wyparł się przybranej Ojczyzny; był z niej zawsze dumny. Dokonał wielkich rzeczy w nauce, choć ogromnej większości wyników nigdy

nie opublikował. Wynałaził i wyprodukował pierwszą w świecie skuteczną szczepionkę przeciw śmiertelnej chorobie – tyfusowi plamistemu. Szczepionka, naukowy efekt jego wiedzy i talentu, uratowała życie milionom ludzi. Profesor Rudolf Weigl był nie tylko wybitnym naukowcem, ale także człowiekiem wielkiego serca. W czasie okupacji sowieckiej i niemieckiej Lwowa uratował przed represjami okupantów setki przedstawicieli inteligencji i młodzieży, zatrudniając ich w swoim instytucie jako karmicieli wszy.

Książka Ryszarda Wójcika pokazuje prawdziwą, jakże ciekawą i nietuzinkową sylwetkę wielkiego polskiego uczonego, prostuje także szereg nieprawdziwych opinii, jakie nagromadziły się wokół jego osoby. Autor książki wykonał w ciągu kilkunastu lat ogromną pracę reporterską, która zaowocowała dziełem, przedstawiającym wielostronnie zarówno osiągnięcia naukowe, jak też patriotyczną i humanitarną postawę życiową profesora Rudolfa Weigla.

Książka, którą oddajemy do rąk czytelników, powstała z potrzeby przywrócenia pamięci o postaci Profesora Rudolfa Weigla i chęci upowszechnienia wiedzy o jego osobie.

Przygotowanie i wydanie książki o Profesorze Rudolfie Weiglu [...] powinno przyczynić się do kultywowania pamięci o osiągnięciach polskich uczonych, z drugiej – do sławienia Lwowa, miasta tak zasłużonego dla polskiej nauki, kultury i historii, w którym żyli, pracowali i tak ukochali Profesor Rudolf Weigl i Profesor Waław Szybalski, patron i fundator naszej Fundacji.

📖 W lutym tego roku minęła 70. rocznica konferencji trzech wielkich mocarstw w Jaltcie na Krymie (4–11 lutego 1945), w wyniku której nasi wojenni alianci, Stany Zjednoczone i Wielka Brytania, w sposób haniebny oddali Polskę w pacht Sowiecom na blisko 45 lat. Warto więc na tę okoliczność przypomnieć obszerną pozycję książkową autorstwa Piotra Eberharda *Polska granica wschodnia 1939–1945*, opublikowaną przez Editions Spotkania (nie podano niestety roku wydania tej wartościowej książki). Jest to znacznie rozszerzona i zmieniona wersja pracy autora, która ukazała się w „Zeszytach Historycznych” Instytutu Literackiego w Paryżu w 1989 roku.

Omawiana pozycja jest typowym opracowaniem naukowym, opatrzonym bogatymi przypisami. Na jej treść składa się 16 rozdziałów, w których autor bardzo skrupulatnie przedstawia problemy dotyczące polskiej granicy wschodniej – od paktu Ribbentrop–Mołotow (23 VIII 1939) poprzez konferencję w Teheranie (28 XI–1 XII 1943), konferencję w Jaltcie (4–11 II 1945), konferencję w Poczdamie (17 VII–2 VIII 1945), aż do konferencji w Moskwie (sierpień 1945, podpisanie umowy 16 VIII 1945 r.).

Praca Piotra Eberharda przedstawia szczegółowo m.in. strukturę narodowościową obszarów okupowanych przez Związek Sowiecki, sytuację na tych terenach pod okupacją sowiecką, następnie przejście spod tej okupacji pod okupację niemiecką, wybuch wojny niemiecko-sowieckiej, ponowne wkroczenie armii sowieckiej na ziemie wschodniej Polski, porozumienie graniczne między PKWN a Związkiem Sowieckim, rozmowy Mikołajczyka ze Stalinem w Moskwie.

Poszczególne problemy graniczne są ilustrowane dużą liczbą szczegółowych map (21).

Ta niezwykle starannie opracowana pozycja naukowa może być bardzo przydatna dla osób zajmujących się badaniem historii prawnego ustalania polskiej granicy wschodniej w latach II wojny światowej i wkrótce po jej zakończeniu.

📖 Książka ma już 10 lat, ale dopiero teraz dotarła do naszych rąk: **Zawsze jest inaczej**, a napisał ją **ks. Andrzej Bardecki**. (Wydawnictwo „Znak”, Kraków 1995).



Dobrze w Krakowie znany ks. Andrzej, który przez 40 lat po II wojnie był ważnym współpracownikiem ówczesnego „Tygodnika Powszechnego”, urodził się (1916) w Małopolsce Wschodniej, koło Ustrzyk Dolnych (pozostałych po stronie RP). Do gimnazjum chodził w Krzemieńcu i Lwowie. Studia teologiczne odbywał na Uniwersytecie Jana Kazimierza we

Lwowie, tamże otrzymał święcenia kapłańskie. Przez 3 lata był wikarym w Brodach, potem wyjechał konspiracyjnie jako robotnik do Niemiec, gdzie pracował jako duszpasterz wśród zesłanych tam Polaków. Został jednak

aresztowany i osadzony w obozie w Buchenwaldzie. Po wojnie nadal pracował wśród Polaków w Niemczech, a w 1946 r. wrócił, by podjąć pracę w kraju. Od arcybiskupa E. Baziaka otrzymał urlop naukowy, uzyskał doktorat, a w 1951 r. wszedł do redakcji „Tygodnika Powszechnego”, gdzie pozostał do emerytury w 1991 r. Kardynał Wojtyła mianował go kanonikiem Kapituły krakowskiej.

Wydał 3 książki. Zmarł w 2001 r.

Omawiana książka to wspomnienia ważne dla historii, niezwykle ciekawe dla każdego czytelnika zainteresowanego nie tylko tematyką kościelną. Lata wojenne i czasy obu okupacji, komunizmu i po przełomie 1980 r., a zarazem to, co działo się poza Polską. Ogromnie interesujące spojrzenie księdza i Polaka. W książce wiele zdjęć z czasów pracy w „Tygodniku”.

Nas, lwowian, szczególnie zajmą dwa pierwsze rozdziały: *Zelówki* i *Ucieczka*. (AC)

Wertując wydawnictwa

➔ Tak się złożyło, że nigdy dotąd nie pisaliśmy o aptekach i aptekarzach czy przemysie farmaceutycznym. Teraz przeglądając bogate redaktorskie zasoby znaleźliśmy książkę wydaną przed ponad 40 laty pt **Przemysł farmaceutyczny w Polsce (1823–1939)***. Mowa tam o wielu zakładach, wytwórniach czy aptekach w całym kraju, nas jednak oczywiście zainteresował Lwów i Małopolska Wschodnia. Poza samym Lwowem, Stanisławowem i Tarnopolem wypisaliśmy ze skorowidzu następujące miejscowości: Brzeżany, Buczacz, Burkut (koło Kut), Jarosław, Jezierna k. Lwowa (okresowo, wcześniej i później w Złoczowie), Kołomyja, Krystynopol, Lesko, Lubień Wielki, Łańcut, Morszyn, Potok Złoty, Przemyśl, Przeworsk, Rzeszów, Sambor (wcześniej w Bohorodczanach), Sieniawa, Skole, Sokal, Stryj, Truskawiec, Złoczów.

Oczywiście największa liczba firm dotyczy Lwowa. Występują tak znane nazwiska, jak Mikolasch (zał. 1828, później wł. Krzyżanowskiego), Piepes-Poratyński (1795),

Uhma itd. Ale warto wszystkie miejscowości wynotować**, ponieważ padają tam nazwy i nazwiska już historyczne. Może natrafią na nie potomkowie?

* Książkę tę otrzymaliśmy od autora w r. 1975, tzn. 20 lat przed powstaniem naszego kwartalnika (1995). Niestety przeleżała się kolejne 20 lat w zbiorach i dopiero teraz wyszła na światło dzienne. Jej treść dotycząca historii jest nadal aktualna. W każdym razie gorąco przepraszamy.

** Nazwiska (kolejno, skrótowo): Ignatowicz, Piepes-Poratyński, Gailhofer, Musil, Zarzycki, Blumenfeld, Uhma, Mikolasch, Krzyżanowski, Hay, Wiewiórki, Sklepińska, Dobrzański, Kubicki, Ostrewko, Koskowski, Edelman, Witkiewicz, Wisłocki, Gogeli, Kalicki, Mańkowski, Świtalski, Szancer, Hausberg, Armatys, Zahradnik, Freysinger.

➔ W Warszawie ukazuje się (jeszcze mało nam tu znany) tygodnik „**Polska Niepodległa**”. Do jego numeru 44 (61) z listopada '14 włączono dodatek zatytułowany **Polskie Kresy**. Redaktorem tego 14-stronicowego dodatku (przewidywanego jako miesięcznik) jest Marcin Hałaś, znany nam jako członek Instytutu Lwowskiego*. W dodatku znalazło się dwadzieścia kilka niedługich, lecz przeważnie ciekawych artykułów.

M. Hałas zwraca uwagę (*Gdzie leżą Kresy Wschodnie*), że nieprawdziwe jest obejmowanie Lwowa pojęciem *kresy*. Lwów nie leżał bliżej granicy państwa niż inne ważne miasta w różnych okresach swojej historii, np. Poznań, a od siebie dodajmy, że nawet Kraków czy Warszawa (choćby dziś...), bo terytorium Polski było dość ruchome, taki był nasz los na linii zachód–wschód. Lepiej było w linii północ–południe, bo naturalnymi granicami były góry i morze. Przez kilkaset lat historii Lwów leżał bardzo, bardzo daleko od granicy... Dodajmy, że Lwów należał do stolic historii i kultury polskiej – z Ziemi Wschodnich wywodziła się większość polskich bohaterów i ludzi kultury. Piszemy wszak o tym często, wymieniając Sobieskiego, Kościuszkę, Piłsudskiego, a nawet generałów II wojny i tak wielu twórców kultury, o których mówi Hałas.

Maria Pyż-Pakosz pyta: *Dlaczego rządzący zapominają o Polakach?* Tu sama autorka pisze: Oddajcie nam kościół (chodzi o kościół św. MM). Bardzo ciekawe jest (niepodpisane) przypomnienie: *Miasta utraczone: Tarnopol* i krótki tekst *Wyspiański był ze Lwowa* (sygn. mh). *Obrona Lwowa, czyli powstanie* to fragment książki M. Hałasia *Oddajcie nam Lwów*, i jeszcze informacja: *Lwowski sztandar odnaleziony* – chodzi o zaginiony przed 70 laty sztandar 6 Pułku Artylerii Ciężkiej we Lwowie. Redaktor rozmawia z Marcinem Siembidą: *Narodowcy dla Kresów Wschodnich*. I dalej: *Lwowski Charon płynie Pełtwią* (MH) – wspomnienie o A. Kurkowskim z cmentarza Łyczakowskiego. Na koniec tematyki wschodniomałopolskiej: książka Moniki Agopsowicz *Kresowe Pokucie*. Potem inne regiony i – trochę spraw politycznych.

W numerze „Polski Niepodległej” zamieszczono znakomity artykuł *Polegli niepokonani – obrońcy Zadwórze*. Przypomniano prawdziwe Polskie Termopile, bo dziś publicyści, zwłaszcza warszawscy, nadużywają tej nazwy dla innych bitew. A ta nazwa dotyczy słynnej bitwy pod Zadwórzem pod Lwowem. Jej pomnik nadal stoi, dziwnym trafem nie zburzyli go sowioci. (AC)

* Pełna nazwa: Instytut Lwowski. Fundacja Ochrony Dziedzictwa Kulturowego Kresów Wschodnich

➔ Politechnika Krakowska im. T. Kościuszki wydaje od lat własny miesięcznik. Wyszło już 140 numerów, ostatnio otrzymaliśmy 4/2015 pod oficjalnym tytułem „Nasza Politechnika”. Ten numer zbiegł się z 70-leciem owej uczelni, która wyłoniła się formalnie z krakowskiej Akademii Górniczej, gdzie zawiązała się przejściowo w 1945 r. pod nazwą Wydziału Politechniczne AGH. Nie da się pominąć faktu, iż jej narodziny umożliwił napływ pracowników naukowych, a także studentów, osiadłych w Krakowie po ekspatriacji ze Lwowa. Numer zawiera więc sporo materiałów związanych z lwowską przeszłością i tradycją – chwała za to Redaktorom!

Najważniejszy z owych materiałów jest artykuł pp. Anny Krauss i Anny Strojnej-Krzystanek pt. *W poszukiwaniu źródeł. Lwowiana* w zbiorach Biblioteki Politechniki Krakowskiej*. Pokazano też przedwojenny projekt małego taniego domku mieszkalnego, sporządzonego przez studenta Szkoły Politechnicznej Lwowskiej** z lat 1913–1914.

W numerze znalazło się wiele nazwisk profesorów PK, przede wszystkim rektorów i profesorów, z których wszyscy w pierwszym okresie byli absolwentami Politechniki Lwowskiej. Z rektorów: inicjator utworzenia politechniki w Krakowie, rektor Izidor Stela-Sawicki, rektorzy PK – absolwenci PLW: Bronisław Kopyciński. Kazimierz Sokalski, Jan Wątorski, a także b. profesor PLW Adolf Szyszko-Bohusz.

* Dlaczego *Lwowiana*, a nie *Leopolitana*?

** Taka nazwa obowiązywała do I wojny.

ERRATA

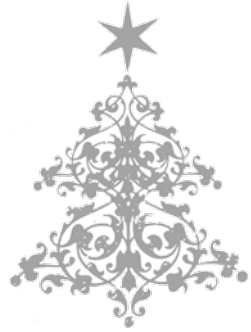
Na I stronie okładki CL 2/2015 – jako ostatnią pozycję zawartości podaliśmy T. Krzyżewskiego *O lwowskim humorze*. Ten tekst w ostatniej chwili usunęliśmy, bo był już publikowany przed paroma laty.

Czytelnik p. M. Szubra skorygował nazwisko w CL 1/2003 na s. 52: ma być **Porejma**, a nie *Porejwa*.

Marian Hemar

Kołąda Lwowska

dla Władysław Majewskiej



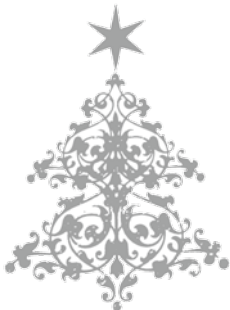
Tutaj do szkoły, do świętej Anny chodził,
Tutaj kasztany zbierał w Jezwickim Ogrodzi,
Tu w Łyczakowskim Parku zielone pagórki,
Tam biegał na wagary i karmił wiewiórki,
A one z topoli zlatywały susem
I na ścieżce siadywały przed Panem Jezusem
We Lwowie, we Lwowie.

Tu On się w Stryjskim Parku uczył do matury.
Tu, z Wysokiego Zamku, z Cytadeli Góry,
Na swoje śliczne miasto patrzył w zamysleniu,
Gdzie na kamieniu kamień, kamień na kamieniu,
Gdzie za tramwajem tramwaj, tramwaj za tramwajem,
I choinki na Wałach, zielonym gajem,
We Lwowie, we Lwowie.

Tutaj na Kaźmierzowskiej, czy na Batorego,
Człek szedł, niewiedzący otarł się o Niego.
Aż kiedyś Matkę swą zostawił jak sierotę
I On sam jak sierota poszedł na piechotę,
Poszedł na poniewierkę, na tułaczkę srogą,
Het precz, za rogatki, niewiadomą drogą
Ze Lwowa, ze Lwowa.

A potem się rozeszły po całym mieści
Straszne pogłoski jakieś i szeptane wieści,
Ze On na krzyżu zginął, na obcej ziemi,
W cierniowej koronie, z dłońmi przebitymi.
Ażeby męką swoją cały świat zasmucić
I miasto swe odkupić. I zza grobu wrócić —
Do Lwowa, do Lwowa.

Londyn, Dziennik Polski



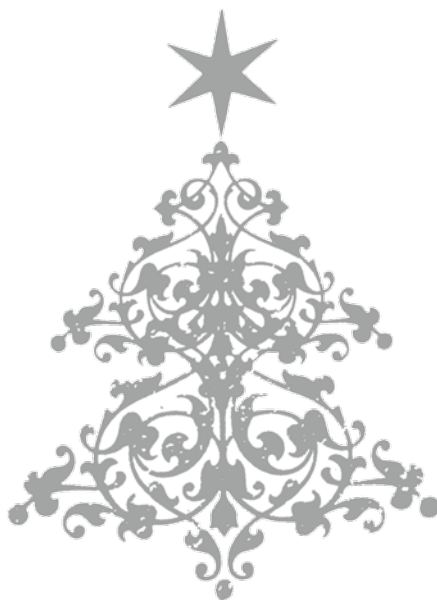
Kresowe Wigilie

Ziemie zachodnie po II wojnie światowej stały się domem dla setek tysięcy uciekinierów i wysiedlonych z rodzinnych Kresów. W Opolu, Zielonej Górze, Szczecinie i Wrocławiu spotykali się mieszkańcy Wileńszczyzny, lwowiacy i przybysze z Grodzieńszczyzny. Do nich dołączali chociażby warszawiacy, próbujący znaleźć kąć po powstaniu warszawskim. Na ulicach Wrocławia nietrudno usłyszeć rozmowę starszych pań mówiących z pięknym wschodnim akcentem, a często i młodzi ludzie zaciągają, choć tego sami nie słyszą. Dlatego kuchnia wigilijna na zachodzie Polski – z wyjątkiem Poznańskiego – przejęła tradycje wschodu.

Najbardziej znaną i charakterystyczną dla Kresów potrawą wigilijną jest bez wątpienia kutia. Dziś jada się ją nawet w tych rodzinach, które nie miały związku z Kresami. – Bez kutii nie ma Bożego Narodzenia – stwierdza stanowczo Tadeusz Malawski, urodzony przed wojną w Stanisławowie, dziś mieszkający we Wrocławiu. Warto jednak wiedzieć, dlaczego kutia jest absolutnie żelazną pozycją w repertuarze kuchni bożonarodzeniowej ze wschodu.

Gdy Adam Mickiewicz pisał w *Panu Tadeuszu* o śnie, że jest „bratem śmierci”, oczywistość symboliki związanej ze śmiercią i snem była wciąż żywa. Słowianie przed przyjęciem chrześcijaństwa wierzyli, że usypiająca moc maku zbliża spożywającego nasiona tej rośliny do zaświatów. Pšenica za to, jako zboże kojarzone z bogactwem, bywała nazywana świętą. Również miód był częstą ofiarą dla bogów i zmarłych przodków. Tak więc potrawa przyrządzana z tak niezwykłych składników musiała być zarezerwowana na niezwykle święta. Kiedyś były to Dziady Jesienne (te same o których pisał Mickiewicz) i Dziady Zimowe, przypadające w symbolicznym czasie przesilenia zimowego. Przez wieki ustaliła się tradycja na wschodniej Słowiańszczyźnie, że kutia – robiona właśnie z pszenicy, maku i miodu – jest potrawą obrzędową, poświęconą zmarłym. Należało ją zostawić na stole, by

duże miały czym się pożywić. Dziś raczej się uważa, że chodzi o zapewnienie żywym bogactwa na cały rok – jednak trudno sobie wyobrazić bogactwo doczesne bez wsparcia przodków, prawda?



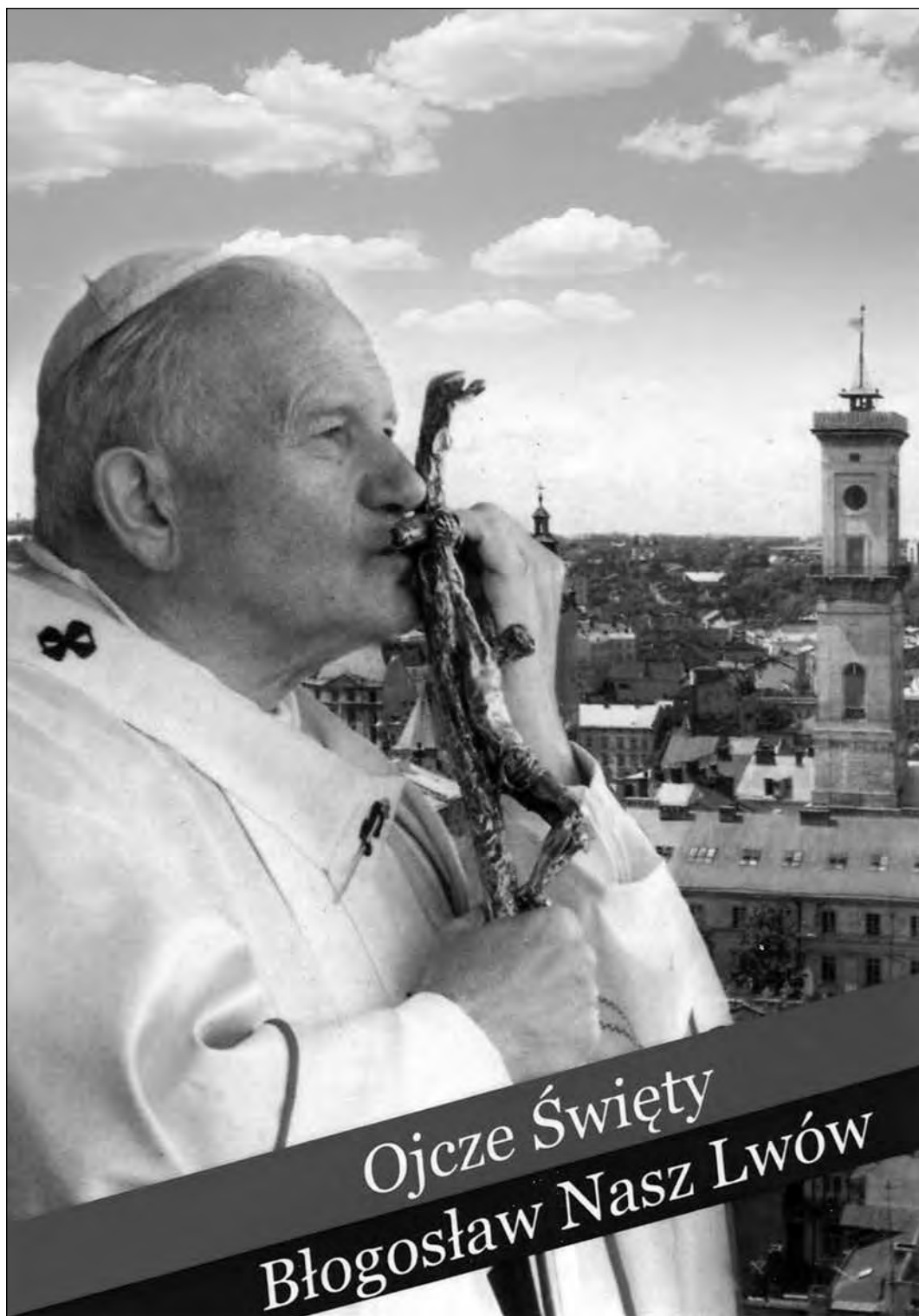
DORSZ PO LWOWSKU

800 g dorsza, 100 g suszonych śliwek, 100 g cebuli, szklanka białego wytrawnego wina, kilka łyżek majonezu, szklanka mleka, bułka, jajko, 2 l bulionu warzywnego, sól i pieprz do smaku

Śliwki moczymy dwie godziny w wodzie, po czym dolewamy do nich wino i zagotowujemy. Miksujemy z majonezem na gładki sos.

Dorsza obieramy, usuwamy płetwy i kawałki ryby przekładamy do miski. Bułkę moczymy w mleku, dodajemy do dorsza wraz z jajkiem i posiekaną cebulą. Bardzo dokładnie mielemy, doprawiając solą i pieprzem.

Z masy rybnej formujemy kulki i gotujemy pół godziny w bulionie. Podajemy z sosem śliwkowym.



Ojciec Święty
Błogosław Nasz Lwów

Naukowcy w obronie kościółów na Ukrainie

dokończenie ze s. 36

dr Witalij Rosowski (Lublin), historyk, Instytut Polonijny, Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II

dr Lucyna Rotter (Kraków), historyk sztuki, Uniwersytet Papieski Jana Pawła II

prof. Mieczysław Ryba (Lublin), historyk, Instytut Historii, Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II, Wiceprzewodniczący Rady Miasta Lublina

Jurij Smirnow (Lwów), historyk sztuki, dziennikarz gazety Polaków na Ukrainie „Kurier Galicyjski”

dr Stanisław Stępień (Przemyśl), historyk, dyrektor Wschodniego Instytutu Naukowego w Przemyślu, prorektor Państwowej Wyższej Szkoły Wschodnioeuropejskiej w Przemyślu, inicjator i redaktor serii wydawniczej „Polska–Ukraina 1000 lat sąsiedztwa” i innych publikacji polsko-ukraińskich

prof. Ryszard Szczygieł (Lublin), historyk, profesor, UMCS

dr Wacław Szetelnicki (Legnica), historyk, Państwowa Wyższa Szkoła Zawodowa im. Witelona w Legnicy, prezes Oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego w Legnicy

prof. Tadeusz M. Trajdos (Warszawa), historyk, Instytut Historii PAN, potomek wielu pokoleń rodziny lwowskiej

ks. dr Jacek Uliasz (Lwów), teolog, dyrektor Instytutu Teologicznego im. św. Józefa Bilczewskiego w Brzuchowicach k. Lwowa

Zbigniew Wojciechowski (Lublin), przewodniczący Stowarzyszenia „Wspólne Korzenie”, zasłużony działacz dla pojednania polsko-ukraińskiego, inicjator odbudowy cmentarza żołnierzy ukraińskich URL w Lublinie, doktor honoris causa uczelni ukraińskich

ks. dr Jacek Maciej Wojtkowski (Frombork), eku-
menista, Wydział Sztuki Uniwersytetu War-
mińsko-Mazurskiego w Olsztynie

dr hab. Andrzej Zięba (Kraków), historyk, Uni-
wersytet Jagielloński, Polska Akademia Umie-
jętności

ks. prof. Waldemar Żurek (Lublin), dyrektor
Ośrodka Archiwów Bibliotek i Muzeów Ko-
ścielnych, Katolicki Uniwersytet Lubelski
Jana Pawła II.



Niniejszy numer CRACOVIA-LEOPOLIS został wydany przy pomocy finansowej
Wydziału Kultury i Dziedzictwa Narodowego Urzędu Miasta Krakowa.

Redakcja składa serdeczne podziękowanie w imieniu Czytelników, Autorów i własnym.

Czasopismo Oddziału Krakowskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

Redaguje zespół: Anna Madej, Krystyna Stafińska, Barbara Szumska, Danuta Trylska-Siekańska, Marta Walczewska, Janusz Paluch, Ireneusz Kasprzysiak, Andrzej Chlipalski (red. nacz.)

Strona internetowa CL: www.cracovia-leopolis.pl

Adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27, e-mail: info@cracovia-leopolis.pl

Informacje o kwartalniku CL: Barbara Szumska, tel. (12) 633 45 23, kom. 695 334 523

Konto bankowe naszego Oddziału TMLiKPW w Krakowie:

53 1020 2892 0000 5002 0121 7918

Skład i łamanie: FALL, Kraków, tel. (12) 413 35 00, e-mail: fall@fall.pl

Druk: Know-How, 31-348 Kraków, ul. Chełmońskiego 255, tel. (12) 622 85 60

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiustacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania
śródtytułów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Copyright © Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

Spis treści

		Kultura ♦ Nauka	
		SEMINARIUM PRZEDWOJENNY LWÓW	39
		MUZYKA W STARYM KRAKOWIE	40
		ZAMEK W ŻÓŁKWI	40
	II	SECESJA WE LWOWIE	41
		MARIA TASZYCKA 1934–2015	41
Słowo od Redakcji			
FINIS CORONAT OPUS			
Stefan Legeżyński			
JAK SIĘ TO MIASTO NAZYWA	1	Poezja	
		Marian Hemar	
		ELEGIA LWOWSKA	42
Tadeusz Krzyżewski	2		
ŁZY I UŚMIECHY LWOWA		Proza	
		Kornel Ujejski	
Wiktor Budzyński	5	NA OBCHODZIE JUBILEUSZOWYM...	44
WRÓCIMY...			
Mieczysław Opałek		Sylwetki	
Z TAJEMNIC STARYCH KATALOGÓW	6	ALFRED SCHREYER	45
		Marzena i Marek Florkowscy	
Teresa Dutkiewicz	14	ZE LWOWA DO KRAKOWA...	46
STUDNIÓWKA PRZED ĆWIERĆWIECZEM		Jerzy Hickiewicz, Przemysław Sadłowski	
Jan Forowicz	15	KAZIMIERZ DREWNOWSKI	48
OCHRONKA W SKOLEM		APEL DO CZYTELNIKÓW:	
		ROMAN ŻUROWSKI	50
Rozmowy		Anna Madej	
Janusz M. Paluch		NAJSTARSZY DOMINIKANIN W POLSCE	50
ROZMOWA Z PROFESOREM	20	Bernard Kłyszajko	
WŁADYSŁAWEM ZALEWSKIM		DZIEKUJĘ CI, PROFESORZE	51
Kornel Makuszyński	27	Barbara Litwiniukowa	
ZEGARY LWOWSKIE		JERZY LITWINIUK – TŁUMACZ I POETA	53
Paweł Glugla	28	Jerzy Michał Bożyk	
LWOWIANIE WYGNAŃCY-TUŁACZE...		BARBARA I MARIAN	54
Wspomnienie		Książki ♦ czasopisma	
Maria Mokrzcowa		NOWE KSIĄŻKI	56
WSPÓŁŻYCIE Z ŻYDAMI WE LWOWIE...	31	WERTUJĄC WYDAWNICTWA	60
W Krakowie i dalej		Boże Narodzenie 2015	
Witold Listowski		Marian Hemar	
PATRIOTYCZNY ZWIĄZEK ORGANIZACJI	33	KOLEDA LWOWSKA	62
KRESOWYCH I KOMBATANCKICH		Urszula M. Radziszewska	
Od Wołynia po Karpaty		KRESOWE WIGILIE	
NAUKOWCY W OBRONIE KOŚCIOŁÓW	34	DORSZ PO LWOWSKU	
NA UKRAINIE		Archiwum	19
Danuta Nespia	36	Ofiarodawcy	39
METROPOLITA ANDRZEJ SZEPTYCKI...		Errata	61